

JADWIGA KIWERSKA
Poznań

ŚWIATOWE PRZYWÓDZTWO USA

Spory o politykę Stanów Zjednoczonych Ameryki, o ich rolę i pozycję na arenie międzynarodowej, wreszcie o charakter amerykańskiego przywództwa w świecie należą do najbardziej fundamentalnych debat współczesności. Przed Ameryką stanęło bowiem kluczowe pytanie, w jaki sposób wypełnić rolę jedyne supermocarstwa, która jej przypadła w udziale. Jest to rola rodząca różne pokusy, wymagająca niekiedy zaangażowania sił i środków na ogromną skalę, stwarzająca zagrożenia i stawiająca wyzwania, których sposób przewycięzania może mieć kolosalne następstwa dla porządku międzynarodowego i przyszłości świata.

Warto zatem prześledzić drogę Ameryki wiodącą do obecnej wyjątkowej pozycji na arenie międzynarodowej, opisać obecność USA w polityce światowej XX w., która przecież nie zawsze oznaczała zaangażowanie. Ukazać też charakter i zakres amerykańskich działań w świecie, które zwykle wzbudzały tyleż podziwu, co i krytyki. Wreszcie spróbować odpowiedzieć na pytanie zasadnicze, jakie wyzwania dla amerykańskiego przywództwa stawia współczesny świat z jego nowymi zagrożeniami i w jaki sposób Ameryka może im sprostać.

Osiągnięcie przez Stany Zjednoczone pozycji supermocarstwa było procesem długim, wyznaczonym tak ważnymi momentami i etapami, jak pomyślnie zakończenie wojny secesyjnej, burzliwy rozwój gospodarczy przełomu XIX i XX w., wreszcie I i II wojna światowa, a w końcu rozpad Związku Radzieckiego i przeżywanie przez Amerykę najdłuższego oraz najintensywniejszego rozwoju w swojej historii. I tak początek ubiegłego stulecia to czas wielkiego przyływu amerykańskiego optymizmu, którego podstawę stanowiły dynamizm gospodarczy i nagromadzenie bogactw. Stany Zjednoczone w przededniu I wojny światowej to już potężne mocarstwo zarówno pod względem gospodarczym, jak i politycznym. Doskonale funkcjonowała demokracja, czyniąc z Ameryki kraj wręcz modelowy. USA cieszyły się pozycją czołowego producenta w wielu kluczowych sektorach gospodarki, zwłaszcza stali. Zasoby znajdujące się w bankach amerykańskich w 1916 r. przewyższały łącznie aktywa banków wszystkich finansowych potęg europejskich. Owo poczucie siły ekonomicznej rodziło potrzebę ekspansji nie tylko gospodarczej, w celu pozyskania rynków zbytu i zwiększenia możliwości

eksportowych, ale i politycznej, realizującej filozofię posłannictwa amerykańskiego.

Propagatorem tezy o posłannictwie amerykańskim był prezydent Thomas Woodrow Wilson – polityk o niezwykłej osobowości. Amerykanie – twierdził Wilson – mają do spełnienia specjalną rolę, niejako misję historyczną, wynikającą z faktu, że USA stanowią kraj wyjątkowy, bastion wolności, demokracji, równości. Ameryka powstała po to, aby ludzkość była wolna. Cywilizacyjną rolę Stanów Zjednoczonych prezydent Wilson widział w służeniu ludzkości przez promowanie wolności, sprawiedliwości i demokracji, a nie tylko w dążeniu do potęgi i dobrobytu¹.

W rzeczywistości jednak owo oddziaływanie moralne Ameryki łączył Wilson z naturalną potrzebą ekspansji ekonomicznej i wolą uzyskania dominacji politycznej w świecie. To, co mogło wydawać się idealistycznym posłannictwem, skrywało więc partykularne interesy narodowe i wyraźnie skalkulowane dążenia Stanów Zjednoczonych: pomnażania dobrobytu i zwiększenia możliwości rozwoju. Czynnikiem amerykańskiej użyteczności przesądził o wysuwaniu na początku XX w. idealistycznych propozycji i haseł, najpierw wobec Ameryki Łacińskiej, gdzie zdobywano nowe bazy morskie, a potem wobec umęczonych wojną narodów Europy. Nie zmienia to faktu, że koncepcje Wilsona, czy to dotyczące Ligi Narodów, czy też odbudowy zintegrowanego, antymilitarystycznego państwa niemieckiego, wreszcie wspieranie dążeń niepodległościowych narodów europejskich uczyniło z amerykańskiego prezydenta orędownika „światowej krucjaty na rzecz demokracji”. Nieodparcie nasuwa się refleksja, że w działaniu administracji Wilsona znaleźć można pierwowzór polityki amerykańskiej prowadzonej z różnym natężeniem w ostatnim półwieczu.

Nie ma jednak wątpliwości co do tego, że decydując o przystąpieniu Ameryki do wojny w 1917 r. prezydent Wilson kierował się w dużej mierze względami interesu amerykańskiego: gospodarczymi, politycznymi i militarnymi. Jednak uzasadniając swą decyzję, odwoływał się do argumentacji moralnej i przekonania o dziejowej misji Ameryki wobec Europy. Rezolucja o stanie wojny umotywowana została sentencją, że „sprawiedliwość jest cenniejsza niż pokój”². Wydawało się, że nadając amerykańskiej polityce wyraźny odcień idealizmu, bliskiego prostemu człowiekowi z Oklahomy czy Idaho, łatwiej będzie pozyskać szerokie poparcie społeczne dla zerwania z izolacjonizmem wobec Starego Świata.

Udział Ameryki w zmaganiach wojennych na kontynencie europejskim potwierdził odejście od tej świętej zasady amerykańskiej polityki wobec Europy. Izolacjonizm posiadał długą tradycję w dziejach Stanów Zjednoczonych. Wyrażony

¹ Zob. H. Notter, *The Origins of the Foreign Policy of Woodrow Wilson*, Baltimore 1937, s. 653.

² *A Day of Dedication. The Essential Writings and Speeches of Woodrow Wilson*, New York 1965, s. 299.

najlepiej przez George'a Washingtona w słynnym *Farewell Address* z 1796 r. oznaczał pełne uniezależnienie rozwoju Ameryki od ambicji, rywalizacji oraz celów państw europejskich. Pierwszy prezydent pytał: „Po cóż wiązać nasz los z losem jakiegokolwiek części Europy, oddając nasz pokój i dobrobyt na pastwę europejskich ambicji, rywalizacji, interesów, humorów i kaprysów?”³ A więc zamknięcie się w kręgu własnych spraw i uniknięcie w ten sposób potrzeby wikłania się w skomplikowane problemy Europy wydawało się najlepsze dla amerykańskich interesów. Tej zasadzie Amerykanie byli wierni przez cały wiek XIX.

Zaangażowanie się USA w wojnę na kontynencie europejskim było więc wydarzeniem bez precedensu. Po raz pierwszy w historii Stanów Zjednoczonych żołnierze amerykańscy przekroczyli Atlantycką Ocean, aby wziąć udział w konflikcie europejskim, przed czym tak gorąco przestrzegał ich prezydent Washington. Co więcej, zaangażowanie Ameryki w Europie nie miało ograniczyć się tylko do czasu wojny. Realizując amerykańskie posłannictwo, ową misję „walki o demokrację, o prawa i wolność dla wszystkich narodów, o ostateczny pokój”⁴, prezydent Wilson poświęcił się niemal bez reszty uporządkowaniu spraw w Europie i zaprowadzeniu po wojnie trwałego ładu na kontynencie. Po raz pierwszy w swych dziejach Ameryka kreowała się zatem na przywódcę wśród mocarstw. I cokolwiek powiedzieć o różnych błędach popełnionych podczas konferencji paryskiej, to idealizm prezydenta Wilsona odcisnął wówczas trwały ślad na wizerunku Ameryki i jej polityki.

Na straży nowego ładu międzynarodowego zaaprobowanego w Wersalu miała stać Liga Narodów, w której demokracja rozciągnęłaby się na dziedzinę polityki zagranicznej i dyplomacji, i w której Ameryka odgrywałaby niepoślednią rolę. Fundamentem Ligi była zasada bezpieczeństwa zbiorowego, czyli zagwarantowania członkom organizacji pomocy na wypadek zagrożenia. Idea bezpieczeństwa zbiorowego była przyczyną sporu między Białym Domem a Kongresem. W sporze tym chodziło nie tyle o tradycyjne animozje występujące między władzą ustawodawczą a wykonawczą, co o różne koncepcje amerykańskiej polityki zagranicznej i kwestie amerykańskiego przywództwa w świecie.

Decyzje Wilsona o zaangażowaniu w wojnę i wysłaniu amerykańskich żołnierzy do Europy oraz o udziale Ameryki w utrzymaniu pokoju na kontynencie europejskim nie zostały zaakceptowane w USA. Wielu Amerykanów sceptycznie oceniało głoszone przez prezydenta idee o konieczności ratowania Europy i umacniania tam pokoju. Tymczasem stworzony podczas konferencji paryskiej – przy zdecydowanym udziale delegacji amerykańskiej – nowy porządek polityczny w Europie i świecie zakładał wydatny udział Ameryki w jego utrzymaniu. Zasada bezpieczeństwa zbiorowego zobowiązywała USA do solidarnego wraz z innymi krajami europejskimi występowania w obronie integralności terytorialnej

³ *A Documentary History of the United States*, ed. by R. D. Heffner, New York 1976, s. 68.

⁴ *A Day of Dedication*, s. 299.

każdego zagrożonego państwa, a ponadto do ingerencji, może nawet wbrew swej woli, w najróżniejsze spory międzynarodowe. Byłoby to istotne ograniczenie amerykańskiej suwerenności i przekazanie LN części uprawnień przysługujących prezydentowi i Kongresowi. Takiej sytuacji wolne społeczeństwo amerykańskie nie mogło zaakceptować – twierdzili przeciwnicy Ligi, traktatu wersalskiego i samego Wilsona. Zresztą większość Amerykanów pragnęła korzystać z owoców pokoju i spokojnego życia z dala od Europy i reszty świata, bez zbędnego ryzyka, zwłaszcza płynącego z nadmiernego angażowania się na zewnątrz.

Zasadniczy spór o kształt i zakres amerykańskiego zaangażowania w świecie rozegrał się więc na forum Kongresu. Jego finałem było odrzucenie w 1920 r. traktatu wersalskiego oraz stanowiącego z nim integralną całość Paktu Ligi Narodów. W rezultacie Stany Zjednoczone zrezygnowały z członkostwa w Lidze Narodów, odmówiły przyjęcia na siebie zobowiązań zapisanych w Pakcie Ligi, odstąpiły od udziału w forsowanym przez Wilsona systemie bezpieczeństwa zbiorowego w Europie. Oznaczało to, że USA w swej polityce wobec Starego Świata wracają do zasady izolacjonizmu. I to pomimo tego, że główne mocarstwa europejskie Francja i Wielka Brytania nie szczędziły wysiłków, aby pozyskać Amerykę dla Ligi Narodów, Europy i jej problemów. Zdawano sobie bowiem sprawę, że bez współpracy USA wszelkie wysiłki podejmowane przez państwa europejskie na rzecz utrzymania ładu i bezpieczeństwa mogą okazać się nieskuteczne.

Jednak Amerykanie wówczas jeszcze nie akceptowali roli, jaką w powojennym świecie przewidywał dla nich prezydent. Nie pragnęli zaszczytu bycia liderem wśród mocarstw za cenę podejmowania zobowiązań międzynarodowych, zwłaszcza wobec Europy. Uważali, że jest to sprzeczne z potrzebami oraz interesami powojennej Ameryki. Wybrali kolejnego prezydenta Warrena G. Hardinga, który swą listę zadań dla kraju sprowadził do hasła: „Przede wszystkim Ameryka” (*America First*). Oznaczało to, że pozostając w bezpiecznym otoczeniu należy się skupić na pomnażaniu własnego dobrobytu, rozwiązywaniu wewnętrznych problemów politycznych, gospodarczych i społecznych.

Wkrótce okazało się, że nie jest możliwe skupienie się tylko na pomnażaniu własnego bogactwa. Powojenny świat wchodził właśnie na drogę wzajemnych powiązań i uzależnień, zwłaszcza gospodarczych. Stany Zjednoczone rysowały się jako potęga gospodarcza i polityczna, dysponująca silną flotą morską i weksłami swoich europejskich dłużników. Nie było więc już mowy o XIX-wiecznym izolacjonizmie. Ale nie było też możliwości odegrania znaczącej roli politycznej na arenie międzynarodowej. Najbardziej zagorzali zwolennicy izolacjonizmu na czele z senatorem Williamem E. Borahem, długoletnim szefem senackiej komisji spraw zagranicznych, niczym „psy łańcuchowe” strzegli amerykańskich priorytetów.

Kolejne administracje: Hardinga, a później i Calvina Coolidge’a, i Herbera Hoovera oraz do pewnego momentu także Franklina D. Roosevelta uciekały się niejednokrotnie do nieformalnych metod uprawiania polityki zagranicznej, tak aby

głos Ameryki mógł być zaprezentowany na różnych konferencjach i gremiach. Stany Zjednoczone uczestniczyły więc w konferencjach rozbrojeniowych, a w działaniach na rzecz ograniczenia zbrojeń morskich przypadła im nawet palma pierwszeństwa. Ważną umową multilateralną stał się pakt Kellogga-Brianda, będący wyrazem amerykańskiego idealizmu w pojmowaniu stosunków międzynarodowych. Amerykanie konsekwentnie odmawiali jednak udziału w gremiach międzynarodowych, które groziły uwikłaniem ich w skomplikowane problemy Europy i świata. Odmawiano też podejmowania jakichkolwiek zobowiązań politycznych, zakładających konkretne działania oraz ingerencje.

Zasada ta jednak nie była stosowana w przypadku spraw gospodarczych i finansowych, które zdominowały wiele zewnętrznych działań USA. Obok konieczności ściągnięcia długów wojennych Ameryka potrzebowała też inwestycji na rynkach światowych, głównie europejskich. Z tych powodów była zainteresowana uporządkowaniem gospodarki europejskiej, dostosowaniem jej do potrzeb rozwijającej się prężnie gospodarki amerykańskiej. Jednym z ważniejszych posunięć na tym polu było przygotowanie, a następnie wprowadzenie w życie planu Dawesa i planu Younga, podejmujących próbę rozwiązania kwestii niemieckich reparacji wojennych. Amerykanie byli nie tylko inicjatorami obydwu projektów, ale i głównymi sponsorami, wpłacając niebagatelną sumę 100 mln dolarów na realizację planu Dawesa. Działania amerykańskie dotyczyły również ustabilizowania walut europejskich, oparcia ich na parytecie złota, zrównoważenia budżetów, uregulowania stosunków handlowych m.in. poprzez wprowadzenie klauzuli najwyższego uprzywilejowania.

A zatem obecność na arenie międzynarodowej, zainteresowanie utrzymaniem pokoju i stabilizacji w świecie, przywiązywanie szczególnej wagi do spraw kluczowych dla amerykańskich interesów, w tym zwłaszcza gospodarczych, ale bez podejmowania zobowiązań wikłających USA w problemy świata zewnętrznego – oto istota amerykańskich działań na forum międzynarodowym w latach dwudziestych i początku lat trzydziestych. Amerykanie z wolna przyzwyczajali się do faktu, że ich kraj odgrywa coraz większą rolę w świecie, nie chcieli jednak zaakceptować związanych z tym obowiązków.

Nowe elementy w polityce amerykańskiej pojawiły się w połowie lat trzydziestych, w związku ze wzrostem zagrożenia wojennego w Europie i świecie. Były to już czasy F. D. Roosevelta, który objął urząd w Białym Domu z mandatem uporania się z kryzysem gospodarczym. Dlatego też od momentu ogłoszenia programu *New Deal* kwestie polityki zagranicznej starano się podporządkować reformom wewnętrznym. Jednak prezydent ani nie mógł, ani nie chciał odgrodzić się całkowicie od spraw międzynarodowych. Wymownie o tym świadczy jego dążenie do powiązania programu przezwyciężenia kryzysu gospodarczego ze sprawami polityki zagranicznej. Zresztą widać było dostatecznie jasno, że sytuacja w świecie coraz bardziej się zaognia. Kluczowe problemy Europy, powstałe w wyniku rewizjonistycznych dążeń Republiki Weimarskiej, nie zostały rozwiązane. Dalekie od rozstrzygnięcia były

także kwestie rozbrojenia i nowego ładu gospodarczego. Niemcom nie udało się utrzymać demokratycznego systemu władzy w państwie. W obliczu coraz gorszej sytuacji politycznej w świecie spodziewano się wzrostu aktywności amerykańskiej na forum międzynarodowym.

Rzeczywiście Amerykanie wzięli udział w konferencji rozbrojeniowej w Genewie, podjęli też kilkakrotnie próby przełamania impasu w rozmowach, deklarując gotowość konsultowania się z państwami europejskimi na wypadek zagrożenia pokoju. Agresywne działania Japonii w Chinach, zagrażające amerykańskim interesom w tym rejonie świata, zmusiły Stany Zjednoczone do wzmożonej aktywności, a nawet nawiązania współpracy z dotychczas ignorowaną Ligą Narodów.

Mimo że aktywność amerykańska miała głównie deklaracyjny charakter, to jednak rozbudziła w Ameryce dyskusje na temat izolacjonizmu, zaangażowania i roli USA w świecie. Debata ta toczyła się zarówno na Kapitolu, jak i w publicystyce. Część polityków oraz publicystów rozumiała, że wobec wzrastającego zagrożenia wojennego Stany Zjednoczone nie mogą pozostać obojętne. Podkreślano etyczny aspekt problemu, dowodząc, że uchylanie się przed odpowiedzialnością w tak ważnym momencie jest sprzeczne z moralnymi zasadami stosunków międzynarodowych. Odwoływano się zatem do owego idealizmu, który swego czasu przyświecał działaniom Wilsona.

Przeważała jednak awersja do angażowania się na arenie międzynarodowej oraz zdecydowana opozycja wobec jakichkolwiek form politycznych i wojskowych zobowiązań. Znalazło to swój najpełniejszy wyraz w wysiłkach, mających zabezpieczyć Stany Zjednoczone przed wciągnięciem ich w nadchodzący konflikt wojenny. Przyjęte w latach 1935-37 ustawy o neutralności miały utrzymać Amerykę z dala od świata. Jednak w świetle ówczesnych wydarzeń: rewizjonistycznych działań Trzeciej Rzeszy, agresji Włoch na Abisynię, działań Japonii na Dalekim Wschodzie – przyjęcie ustaw o neutralności dowodziło niedostatecznego stanu wiedzy o moralnym aspekcie tych aktów. Działy one bowiem uspokajająco na agresorów, gwarantując ze strony Ameryki nietykalność ich poczynań, równocześnie też osłabiały pozycję państw demokracji zachodniej. Z faktu tego zdawał sobie sprawę i prezydent, i Departament Stanu, jednak Biały Dom poparł ustawodawstwo o neutralności, nie chcąc przeciwstawiać się ogółowi amerykańskiej opinii publicznej.

Krępowany zasadą izolacjonizmu, która dominowała w umysłach i odczuciach amerykańskiego społeczeństwa oraz określała granice przyzwolenia ze strony Kongresu, prezydent Roosevelt nie mógł aktywniej zaznaczyć amerykańskiej obecności na forum międzynarodowym. W obliczu narastającego zagrożenia wojennego w świecie Biały Dom sięgał po środki perswazji, nakłaniania do negocjacji i działań dyplomatycznych. Wobec planów niemieckich, wykraczających daleko poza możliwe do przyjęcia żądania rewizji traktatu wersalskiego, ta „dyplomacja apelowa” była z góry skazana na niepowodzenie. Kolejne amerykań-

skie *messages* nie odnosiły żadnych skutków. Odpowiedzią Hitlera na ostatni apel wystosowany przez Roosevelta jeszcze 24 sierpnia 1939 r. był atak na Polskę.

„New York Herald Tribune” skomentował tę sytuację następująco: „Amerykanie raz jeszcze dostali nauczkę, że naród uzbrojony po zęby może być trzymany w szachu jedynie przez siłę i potęgę większą niż on sam. Żadne apele, żadne prośby niczego nie dają (...). Ale taki jest charakter społeczeństwa amerykańskiego, że cieszy się, gdy prezydent występuje z apelami. Chce ono być przekonane, że tym sposobem prezydent wykorzystał szansę, aby utrzymać pokój. A fakt, że ich propozycje odbiły się głuchym echem, nie zmienia ich dobrego samopoczucia”⁵. Przekonanie Amerykanów, że najlepszym dla nich wyjściem będzie kibicowanie wydarzeniom na świecie lub najwyżej perswazja i apele, a Atlantyk i Pacyfik wystarczająco zabezpieczają Amerykę przed wojną, wkrótce okazało się zgubne.

Wprawdzie we wrześniu 1939 r. Stany Zjednoczone ogłosiły neutralność, jednak dwa lata później, w grudniu 1941 r., znalazły się w stanie wojny i to prowadzonej na dwóch frontach: dalekowschodnim i europejskim. Do tego czasu administracja Roosevelta zrobiła wiele, aby z jednej strony przekonać społeczeństwo amerykańskie, jak bardzo odległa od terażniejszości i potrzeby chwili jest tendencja unikania odpowiedzialności, a z drugiej – przybliżyć wojnę do Ameryki.

Podobnie jak wcześniej prezydent Wilson, także Roosevelt nie zamierzał ograniczać zaangażowania Ameryki tylko do działań wojennych, chciał wpłynąć na kształt powojennego świata, zabezpieczyć specjalne miejsce USA, nie unikając bynajmniej roli przywódcy. Używając wilsonowskiej retoryki i wielkich słów o moralnym posłannictwie Ameryki, obronie demokracji i walce z tyranią, odwoływał się też do kwestii bezpieczeństwa narodowego, które wiązał z amerykańskim udziałem w kształtowaniu, a potem utrzymaniu nowego porządku w świecie. Jego koncepcja zaangażowania stała się elementem politycznej świadomości wielu Amerykanów. Zawierał się w niej idealizm, wyrażony najlepiej w Karcie Atlantyckiej, oraz element realistyczny: wyprowadzenie zasady bezpieczeństwa międzynarodowego z istniejącego układu sił i aspiracji mocarstw.

W podpisanej w sierpniu 1941 r. Karcie Atlantyckiej amerykański prezydent określił udział Ameryki w powojennym łądzie jako wspólną z Wielką Brytanią odpowiedzialność za pokój w świecie. Jednak jakże trafne były przewidywania londyńskiego „New Statesman and Nation”, który odnosząc się do pozycji Ameryki w powojennym świecie pisał: „Stany Zjednoczone będą nie tylko dominującym partnerem, lecz wszystkie marzenia o odbudowie będą całkowicie uzależnione od dobrej woli tego kraju”⁶.

Rzeczywistość coraz wyraźniej potwierdzała słuszność tych prognoz. Po przystąpieniu USA do wojny Roosevelt czuł się już formalnie zobowiązany do

⁵ „New York Herald Tribune” z 26 VIII 1939.

⁶ Cyt. za: P. Grudziński, *Przyszłość Europy w koncepcjach Franklina D. Roosevelta (1933-1945)*, Wrocław 1980, s. 94.

kreowania przyszłego porządku. Szybko okazało się, że głównym partnerem w tym procesie będzie nie Wielka Brytania, ale Związek Radziecki. Przywództwo należało do Ameryki, gdyż ona posiadała odpowiednią siłę. Posiadał ją również ZSRR, a zatem należało te siły połączyć. Wprawdzie w jednej z pierwszych swoich sprecyzowanych wizji powojennego świata, którą Roosevelt przedstawił na początku 1943 r., nadzór nad całą powojenną Europą miały sprawować trzy mocarstwa: Stany Zjednoczone, Związek Radziecki i Wielka Brytania. Ale już w Teheranie na przełomie listopada i grudnia 1943 r. myślał o budowie ładu światowego opartego na porozumieniu amerykańsko-radzieckim.

Jałta była już tylko potwierdzeniem faktu, że wśród tzw. Wielkiej Trójki głos decydujący należał do Roosevelta, który jednak ze względu na stan zdrowia i pełen złudzeń stosunek do Stalina poszedł na głębokie ustępstwa wobec Moskwy. Wydano na łup Rosji połowę Europy, przyznając jej równocześnie wiele przywilejów w przyszłej Organizacji Narodów Zjednoczonych w postaci prawa weta i miejsc dla „państw niepodległych”, za jakie uznano Ukrainę i Białoruś. Roosevelt przyznawał Rosji drugie skrzydce w koncercie mocarstw, Związek Radziecki miał być zneutralizowany przez sojuszników Ameryki: Wielką Brytanię i Chiny, podczas gdy Stany Zjednoczone miały pełnić rolę arbitra. Okazało się jednak, że w czasie wojny ZSRR wyrósł na supermocarstwo nie podporządkowujące się wizjom i woli USA.

W momencie zakończenia II wojny światowej wyłaniała się zatem interesująca sytuacja międzynarodowa. Z jednej strony rysowała się wizja światowej hegemonii USA, do której dążył Roosevelt, przekonany, że Ameryka może i powinna dyktować swą wolę całemu światu. Z drugiej zaś na firmamencie jawiła się potęga Związku Radzieckiego, umocniona w dużej mierze ustępstwami i koncesjami ze strony amerykańskiego prezydenta. Jedynie w tle widniały dawne potęgi imperialne: Wielka Brytania i Francja, których rolę i pozycję osłabił wysiłek wojenny. Upadła Trzecia Rzesza oraz przestała istnieć potęga Japonii.

Amerykanie witali koniec wojny w przekonaniu, że cel, jakim było wyzwolenie świata spod panowania sił antydemokratycznych, faszystowskich, został osiągnięty. Ożyła więc idea nadal głęboko tkwiąca w świadomości przeciętnego Amerykanina: chęć powrotu do normalności, czyli izolacjonizmu. Z drugiej jednak strony było już oczywiste, że świat stał się tak mały, że Ameryka nie może uchylać się od odpowiedzialności za porządek międzynarodowy. Po ataku na Pearl Harbor pojęcie „amerykańskiej twierdzy” wiele straciło. Stany Zjednoczone, podobnie jak inne państwa na świecie, mogły być narażone na atak z morza lub powietrza. Świat dwubiegunowy stał się rzeczywistością: Stany Zjednoczone i Związek Radziecki. Nie ulegało jednak wątpliwości, że przewaga była po stronie supermocarstwa amerykańskiego. Chodziło nie tylko o to, że – jak twierdził Paul Kennedy – reszta świata była albo wyczerpana wojną, albo wciąż jeszcze w stadium niedorozwoju i dlatego potęga Ameryki była sztucznie wielka. Rozmiary bezwzględne tej potęgi

były też bez precedensu. PNB w USA wzrósł z 88,6 mld dolarów w 1939 r. do 135 mld dolarów w 1945 r. Produkcja przemysłowa rosła w latach 1940-44 w szybkim tempie – ponad 15% rocznie. Choć większość tego wzrostu związana była z produkcją wojskową, to zwiększyła się również produkcja na cele cywilne. Stany Zjednoczone były więc jedynym państwem, które w wyniku wojny stało się bogatsze. W momencie zakończenia wojny rezerwy złota USA wynosiły 20 mld dolarów, co stanowiło niemal 2/3 rezerw światowych. Ponad połowa światowej produkcji dóbr przemysłowych przypadła na USA. W momencie zakończenia działań wojennych Stany Zjednoczone były największym na świecie eksporterem i nawet jeszcze w parę lat później dostarczały 1/3 światowego eksportu. W wyniku ogromnej rozbudowy stoczni Ameryka była właścicielem połowy światowej floty handlowej⁷.

Odbiciem potęgi gospodarczej była siła wojskowa USA. Potencjał broni konwencjonalnej był ogromny, jednak nie on decydował o niepodważalnym statusie supermocarstwa. O tym przesądził amerykański monopol na bombę atomową. Była to ogromna siła odstrasząca, która wzmacniała potęgę Ameryki. Wprawdzie USA utrzymały jedynie cztery lata monopol atomowy, gdyż od 1949 r. również Związek Radziecki posiadał broń jądrową, co jednak nie zmieniło pozycji Ameryki.

Nie bez znaczenia dla nowej roli USA w świecie był ich wizerunek mocarstwa modelowego. Chodziło nie tylko o znaczący wkład Ameryki w pokonanie wroga i ostateczne zwycięstwo, ale o wzorzec demokracji zdolnej do utrzymania wysokiego poziomu gospodarczego i swobód politycznych, zapewniającej funkcjonowanie porządku i prawa. W odróżnieniu od wielu innych, imperium amerykańskie korzystało z wyjątkowych przywilejów, gdyż nie miało obciążenia kolonialnego. Stany Zjednoczone budziły strach, ale również poważano je. Świat postrzegał Amerykę jako wzór nowoczesnego społeczeństwa. Ten respekt wobec USA graniczył często z podziwem. Wierzono, że Ameryka rozporządza fenomenalnymi zasobami, a jej obywatele potrafią zrealizować każde swoje marzenie.

Ten zewnętrzny wizerunek Stanów Zjednoczonych współgrał z przekonaniem większości czołowych polityków i publicystów amerykańskich. Pozostali oni wierni amerykańskiej tęsknocie do nawracania świata, traktowanego jako klucz do pokoju międzynarodowego. „Doświadczenie amerykańskie – pisał w duchu wilsonizmu Henry Luce – jest kluczem do przyszłości. [...] W braterskim związku ludzkości Ameryka musi być starszym bratem innych państw”⁸. Odradzało się więc owo poczucie obowiązku prowadzenia krucjaty o przekształcenie świata na obraz i podobieństwo Ameryki, będące podstawą polityki zaangażowania. Ale też nie

⁷ P. Kennedy, *Mocarstwa świata. Narodziny, rozkwit, upadek*, Warszawa 1994, s. 351, zob. też J. Kiwerska, *Nowa rola USA na arenie międzynarodowej po II wojnie światowej*, w: *II wojna światowa i jej następstwa*, pod red. A. Czubińskiego, Poznań 1996, s. 356-357.

⁸ Cyt. za: R. Dallek, *The Postwar World: Made in the USA*, w: S. J. Ungar (ed.), *Estrangement: America and the World*, New York 1985, w. 32.

znikło przekonanie, że owemu systemowi wartości najlepiej służy skoncentrowanie się na rozwoju wewnętrznym kraju, pomnażaniu dobrobytu. Po 1945 r. zwolennicy izolacjonizmu utrzymywali, że gwarancją bezpieczeństwa Ameryki jest bomba atomowa, która działa jako siła odstrasząca. O ład międzynarodowy – twierdzili – zadba ONZ, poza którą zaangażowanie Ameryki nie powinno sięgać.

Jednak po II wojnie światowej w tym sporze rzeczników zaangażowania z izolacjonistami ci ostatni nie mieli szans. Sytuacja wymagała, aby Stany Zjednoczone zaangażowały się w świecie na niespotykaną dotąd skalę. Wynikało to z ich pozycji gospodarczej i wojskowej, wysokiego prestiżu, jakim cieszyły się w świecie; także – z potrzeby chwili, gdyż tradycyjne mocarstwa europejskie ustępowały ze sceny i jedynie USA mogły zapełnić powstałą w ten sposób próżnię. Tym bardziej, że nowe mocarstwo, które przy wydatnej pomocy Roosevelta umocniło swe wpływy w Europie, zaczęło zagrażać światu demokratycznemu. Tak więc skoro Ameryka została mocarstwem numer jeden, musiała realizować swe posłannictwo i prowadzić walkę ze złem, utożsamianym z zagrożeniem komunistycznym. Chodziło również o amerykańskie interesy: o swobodny dostęp do nowych rynków zagranicznych, zdolnych wchłonąć amerykańską nadprodukcję, kontrolę nad surowcami o kluczowym znaczeniu strategicznym, dominację na rynku finansowym.

Autorem i wykonawcą nowej strategii zewnętrznej USA stał się polityk, który obejmując urząd prezydenta niewiele wiedział o polityce zagranicznej. Harry Truman, przejmując schedę w Białym Domu po zmarłym Rooseveltcie, nie miał żadnego doświadczenia na arenie międzynarodowej, a przypadło mu zadanie ukończenia dzieła wielkiego poprzednika – organizacji powojennego świata i umocnienia dominującej pozycji USA. Ale to właśnie Truman zaprojektował i zrealizował doktrynę „powstrzymywania”, która wyrażała w zasadzie zgodę na dwubiegunowy podział świata, gdzie każda z dwóch części poddana jest rządowi opierającym się na odmiennym systemie politycznym i gospodarczym.

Amerykańską strategię prezydent zdefiniował bardzo prosto. Deklarując w 1947 r. pomoc USA dla Grecji i Turcji powiedział, że „polityką Stanów Zjednoczonych musi być udzielanie poparcia dla wolnych społeczeństw, które narażone są na próby zniewolenia ich przez zbrojne mniejszości lub przez naciski zewnętrzne”⁹. Składając taką deklarację, Stany Zjednoczone już wówczas musiały mieć poczucie swej niekwestionowanej siły i woli „zbawiania świata”.

Najbardziej spektakularnym przykładem tej nowej projekcji amerykańskiej potęgi na zewnątrz było utworzenie w 1949 r. Paktu Północnoatlantyckiego. Dominującą rolę w *NATO* odgrywały Stany Zjednoczone jako najsilniejszy jego członek, zarówno pod względem militarnym, jak politycznym i ekonomicznym. W ten sposób USA, wspierane blisko 350 tysiącami żołnierzy amerykańskich

⁹ Cyt. w: S. E. Ambrose, *Rise to Globalism. American Foreign Policy since 1938*, New York 1983, s. 122.

stacjonujących w Europie, stały się najważniejszym supermocarstwem na arenie europejskiej.

Podjęte zobowiązania wojskowe obrony zachodniej części Europy i niektórych części Bliskiego Wschodu od Spitsbergenu do muru berlińskiego i dalej aż po azjatyckie granice niewątpliwie wprawiłyby w zdumienie amerykańskich planistów wojskowych w latach dwudziestych i trzydziestych. Było to bowiem wyraźne zerwanie z zasadą unikania przez Amerykę zobowiązań w Europie. Nic dziwnego, że wielokrotnie i przy różnych okazjach w Kongresie padały pytania: dlaczego nad bezpieczeństwem świata nie może czuwać jedynie ONZ; ile kosztować będzie Amerykę odgrywanie roli policjanta w świecie; czy nie ma przesady w twierdzeniu o radzieckim zagrożeniu?

Takich wątpliwości nie mieli w zasadzie europejscy sojusznicy USA, którym bezpieczeństwo gwarantował amerykański parasol ochrony. Poza tym to, co w dziedzinie wojskowej i politycznej stworzyło *NATO*, w sferze gospodarczej wykonał plan Marshalla, pogłębiając dokonany w 1945 r. podział Europy na dwa przeciwstawne światy i wiążąc Amerykę z kontynentem europejskim także w sferze gospodarczej. Udzielając Europie Zachodniej w latach 1948-52 pomocy w wysokości 17 mld dolarów, USA umożliwiły zlikwidowanie zniszczeń i odbudowę gospodarki, przywróciły optymizm i wzmocniły własny prestiż w Starym Świecie.

Powstanie *NATO* i plan Marshalla to jedynie elementy procesu rozszerzania amerykańskich zobowiązań w świecie. Pakt Rio de Janeiro (1947 r.) i specjalne porozumienie z Kanadą oznaczały, że USA przyjęły na siebie odpowiedzialność za obronę całej półkuli zachodniej. Pakt *ANZUS*, podpisany w 1951 r., nałożył na Amerykę obowiązki dotyczące południowo-zachodniego Pacyfiku.

Wyzwaniem dla amerykańskiego przywództwa w wolnym świecie była wojna koreańska (1950-51). Ameryka odniosła jedynie połowiczne zwycięstwo; Moskwie nie udało się pozyskać dla swych wpływów całej Korei, Amerykanom nie powiódł się zamiar utrzymania jedności państwowej Korei. Wojna koreańska spowodowała jednak nasilenie zbrojeń w USA oraz wzrost sił zbrojnych (do ponad 3 mln żołnierzy). Doprowadziła też do podpisania przez Stany Zjednoczone kilku traktatów bilateralnych zobowiązujących Waszyngton do udzielania pomocy krajom leżącym wzdłuż „krawędzi” Azji: Japonii, Korei Płd., Tajwanowi i Filipinom. W 1954 r. zostało to wsparte dodatkowo utworzeniem *SEATO*. Na Bliskim Wschodzie USA stały się głównym sponsorem innego ugrupowania regionalnego – Paktu Bagdadzkiego z 1955 r. (później *CENTO*). Zawarty również specjalne porozumienia z Izraelem, Arabią Saudyjską i Jordanią.

Pod koniec lat 50-tych Stany Zjednoczone miały ponad milion żołnierzy na terytorium 30 krajów, były najważniejszym członkiem czterech regionalnych organizacji obronnych i aktywnym uczestnikiem piątej. Miały układy o obronie wzajemnej z 42 państwami, należały do 53 organizacji międzynarodowych i udzielały pomocy gospodarczej i wojskowej niemal 100 państwom w świecie. Sieć zobowiązań, sojuszy i uwikłań tworzyła szerokie zaplecze polityczne, które

Ameryka mogła swobodnie wykorzystywać dla realizacji swych celów, np. na forum ONZ. Jednak trudno nie dostrzec, że na przeciwnym biegunie trwał Związek Radziecki, który umacniał własną strefę wpływów i pod względem militarnym stanowił wyzwanie dla amerykańskiej potęgi.

USA, wykorzystując swój potencjał, zaangażowały się w tworzenie i umacnianie światowego porządku zarówno politycznego, jak i gospodarczego. Stąd propozycje rozwiązań międzynarodowych, z których część była pomysłem jeszcze Roosevelta: Międzynarodowy Fundusz Walutowy, Międzynarodowy Bank Odbudowy i Rozwoju oraz późniejszy Układ Ogólny w Sprawie Ceł i Handlu (*GATT*). Kraje, które chciały zapewnić sobie środki finansowe, musiały się podporządkować amerykańskim wymogom w sprawie wymienialności waluty i otwartej konkurencji. W ten sposób dolar stał się kolejnym atrybutem pozycji USA w świecie.

Gdy Truman obejmował prezydenturę, miał w zamierzeniu powrót do tradycyjnej polityki amerykańskiej – niezaangażowania. Gdy w 1952 r. opuszczał Białą Dom, obecność amerykańska dostrzegalna była na każdym kontynencie, i to w aspekcie politycznym, wojskowym i ekonomicznym. Wykreował też Amerykę na przywódcę świata wolnego. Ten obraz niepokonanego supermocarstwa przetrwał do końca zimnej wojny, mimo wyraźnej rysy, jaką była interwencja amerykańska w Wietnamie.

Wojna wietnamska, która zakończyła się klęską sił wspieranych przez coraz liczniejszy kontyngent wojsk amerykańskich, spowodowała osłabienie autorytetu Stanów Zjednoczonych. Pomimo tego, że USA rzuciły do walki znaczącą część swojego potencjału militarnego, wyłączając broń jądrową i biologiczną, to jednak przegrały z przeciwnikiem, który ani pod względem gospodarczym, ani militarnym nie mógł równać się z Ameryką.

Lecz Wietnam nie był tylko militarną porażką czy polityczną skazą na prestiżu USA. Ucierpiał moralny wizerunek mocarstwa. Amerykańskie zaangażowanie w Wietnamie nazywano bowiem brudną wojną, gdyż Guliwer walczył z liliputem (choć nieformalnie wspieranym przez świat komunistyczny). Nie pomogło tradycyjne odwoływanie się do demokracji i konieczności jej obrony. Tym razem użyty argument o wypełnianiu przez USA misji obrony wolności przeciwko zagrożeniu nie zdołał zmienić kampanii wojskowej w krucjatę, zwłaszcza że po raz pierwszy w dziejach wojna ta dzięki telewizji była na tak wielką skalę śledzona na bieżąco. Przykłady okrucieństwa wojny podważały zasadność interwencji. W Stanach Zjednoczonych m.in. protest przeciwko wojnie w Wietnamie stał się początkiem wielkiego ruchu hippisowskiego, a z czasem przeobraził się w tzw. syndrom wietnamski, na który składały się: wrogość opinii publicznej wobec wojskowych, niechęć polityków do wysyłania żołnierzy z kraju i obawy wojskowych przed prowadzeniem wojny w trudnym terenie.

Spadek autorytetu Ameryki można było najlepiej zaobserwować w Europie Zachodniej, gdzie rewolta 1968 r. – ku zaskoczeniu wielu – miała silny antyamerykański podtekst, a poparcie dla Wietnamczyków stało się głównym elemen-

tem wykrzykiwanych na ulicach haseł. Nie miało to bezpośredniego przełożenia na stosunek rządów do Ameryki. Jednak z czasem osłabła europejska gotowość współdziałania z amerykańskim mocarstwem w każdej sprawie. Już w 1973 r. podczas wojny Jom Kippur na Bliskim Wschodzie rządy brytyjski i zachodnio-niemiecki zaproponowały, gdy Waszyngton chciał wykorzystać swe bazy w Wielkiej Brytanii i RFN do zaopatrywania Izraela.

Choć daleko było jeszcze do zakwestionowania amerykańskiego przywództwa w Europie i świecie, to jednak coś zaczęło się chwiać. Póki jednak świat był podzielony oraz istniała groźba eskalacji komunistycznego zagrożenia, Ameryka była niepodważalnym gwarantem bezpieczeństwa wolnego świata i spójności Zachodu. Koniec zimnej wojny oznaczał zmiany o wymiarze historycznym. Po rozpadzie Związku Radzieckiego dotychczasową polaryzację na scenie politycznej zastąpiła dominacja Stanów Zjednoczonych, teraz jedyne supermocarstwa. O jego potęgę decydowały: najbardziej konkurencyjna i najbardziej wydajna gospodarka w świecie, największy potencjał wojskowy, ekspansywna kultura, siła polityczna. Amerykańskie przywództwo wydawało się czymś naturalnym i oczywistym.

Z drugiej jednak strony zniknięcie zagrożeń zimnowojennych postawiło pod znakiem zapytania potrzebę takiego przywództwa. Problem ten, wielokrotnie już w historii Ameryki dyskutowany, po 1989 r. odżył ze zdwojoną siłą. Powrócono więc do narodowej debaty o istocie żywotnych interesów Ameryki, celach i zadaniach jej polityki zagranicznej, zakresie amerykańskich zobowiązań w świecie. Jednakże rzeczywisty dylemat, przed którym stanęła wówczas dyplomacja Stanów Zjednoczonych, nie dotyczył wyboru między izolacjonizmem a zaangażowaniem, ale polegał na określeniu metod i sposobów sprostania zobowiązaniom międzynarodowym. USA jako jedyne supermocarstwo nie mogły wyrzec się odpowiedzialności za bieg spraw na arenie światowej. Zwłaszcza że świat, a głównie jego europejska część, wszedł w trudny okres transformacji oraz poszukiwań gwarancji bezpieczeństwa. Efektem było pojawienie się nowych zagrożeń i wyzwań.

Prezydent George W. H. Bush – zwolennik zaangażowania Stanów Zjednoczonych w skali globalnej – gotowy był podjąć to wyzwanie i aktywnie uczestniczyć w tworzeniu nowego ładu w świecie. Sformułował nawet koncepcję określoną mianem „nowego porządku światowego”, która była syntezą ambicji Ameryki do modelowania świata według własnych wyobrażeń oraz pragmatycznych celów jej dyplomacji. Była to zarazem próba połączenia idei amerykańskiego przewodzenia (czyli unilateralizmu) ze współpracą wielostronną (czyli multilateralizmem). Sprawdzianem miała być zbrojna interwencja w Zatoce Perskiej, której celem było zmuszenie Iraku do opuszczenia bezprawnie zaanektowanego Kuwejtu. USA doprowadziły na przełomie 1990 i 1991 r. do utworzenia międzynarodowej koalicji skupiającej, obok sojuszników z *NATO*, m.in. także Związek Radziecki, Izrael, państwa arabskie i pokomunistyczne. Udało się również uzyskać mandat ONZ, co nadało akcji charakter całkowicie legalny z punktu widzenia prawa

międzynarodowego. Błyskotliwe zwycięstwo koalicji pod przywództwem USA umocniło pozycję Ameryki w świecie.

Jednak już Bush senior zetknął się z poważnym problemem kwestionowania amerykańskiego przywództwa i to ze strony najbliższych sojuszników. Rozpad Związku Radzieckiego pozbawił Amerykę i Europę wspólnego wroga, zmniejszyła się zatem zależność Starego Kontynentu od amerykańskiej obrony militarnej. Ameryka i Europa Zachodnia straciły tę strategiczną harmonię, która istniała w okresie zimnej wojny. Z kolei postępujący proces integracji europejskiej wzmacniał w Europie Zachodniej poczucie siły politycznej i gospodarczej. Rosło więc przekonanie o konieczności uniezależnienia się spod wpływów Waszyngtonu, czego efektem były próby tworzenia europejskiej polityki obronnej i bezpieczeństwa.

Waszyngton dość sceptycznie odnosił się do prób budowania autonomicznych wobec NATO struktur wojskowych, obawiając się podważenia roli Ameryki na kontynencie europejskim, a tym samym osłabienia jej globalnej pozycji. Słusznie przewidywano, że była to gra Paryża, który jednak tym razem znalazł większe zrozumienie w innych stolicach europejskich, zwłaszcza w Bonn. Pomimo tego administracja Busha do końca kadencji podkreślała wagę amerykańskiego przywództwa wobec Europy i świata. Choć nasilała się krytyka ze strony demokratów, żądających obniżenia wydatków wojskowych i przeznaczenia uzyskanych środków na inne cele, Biały Dom nie zamierzał ograniczać zaangażowania w świecie.

Demokrata William J. Clinton, gdy w 1993 r. przejmował prezydenturę, nie wydawał się początkowo zaniepokojony faktem kwestionowania amerykańskiego przywództwa. Objął on najwyższy urząd w państwie z zamiarem skoncentrowania się na polityce wewnętrznej i temu priorytetowi podporządkował problemy międzynarodowe. Jednak Bliski Wschód, Somalia, Haiti, konflikt na Bałkanach, debata nad rozszerzeniem NATO, niepewność co do sytuacji w Rosji oraz w byłych republikach radzieckich spowodowały, że administracja Clintona – choć niechętnie – musiała zwrócić większą uwagę na otoczenie zewnętrzne, a z czasem zaakceptować przywódczą rolę Ameryki. Powrót do wstrzemięźliwości w polityce zagranicznej okazał się niemożliwy. Przestrzegał przed tym Henry Kissinger twierdząc, że brak aktywności międzynarodowej „skaże Stany Zjednoczone na postępujący zanik ich znaczenia w świecie, a sam świat na pogłębiającą się niestabilność”¹⁰.

Początkowo polityce Clintona przyświecała idea multilateralizmu. Taka taktyka uwzględniała – w przekonaniu demokratów – zarówno interesy amerykańskie, jak i realia nowego, współzależnego świata. Dążono również do legitymizacji działań poprzez uzyskanie mandatu organizacji międzynarodowych, głównie ONZ. W rzeczywistości oznaczało to chwiejność i kunktatorstwo w działaniu, zrzucanie odpowiedzialności na organizacje i struktury międzynarodowe, czyli *de facto* zmniejszoną aktywność Waszyngtonu na arenie międzynarodowej. Propagowany

¹⁰ H. Kissinger, *At Sea in a New World*, „Newsweek” z 6 VI 1994.

przez Biały Dom multilateralizm spotkał się więc z ostrą krytyką ze strony przeciwników osłabiania roli USA w świecie oraz ograniczania ich swobody działania. Pomysł, aby decyzje Ameryki podlegały aprobacie ze strony ONZ uznano za „paranoiczne fantazjowanie, spotęgowane przez brak zdecydowania administracji Clintona i jej retorykę”¹¹.

Słabości doktryny multilateralizmu z czasem dostrzegła również ekipa Clintona. Doświadczenia amerykańskie związane z nieudaną akcją humanitarną w Somalii, a następnie kryzysem w Bośni potwierdziły konieczność zdecydowanego przywództwa. Uznano, że decyzję o tym, czy działać w pojedynkę, czy w partnerstwie z innymi będzie się podejmować w zależności od tego, co będzie najefektywniejsze w danych okolicznościach, a wszelkim działaniom zbrojnym, nawet pod flagą ONZ, będą przewodziły Stany Zjednoczone.

Również sojusznicy Ameryki, szczególnie w Europie, oczekiwali jej większej skuteczności i zdecydowania. Aczkolwiek na początku lat dziewięćdziesiątych wydawało się, że Europejczycy pragną, aby Amerykanie opuścili Stary Kontynent, to zwłaszcza konflikt na Bałkanach udowodnił, że myślenie o czysto europejskim systemie bezpieczeństwa, bez udziału USA, jest jeszcze nierealne. Kiedy Europa i organizacje międzynarodowe nie mogły poradzić sobie z konfliktem w Bośni, wszyscy spoglądali w stronę Waszyngtonu¹².

Administracja Clintona w poczuciu, że świat oczekuje zdecydowanego przywództwa amerykańskiego i w przekonaniu, iż nie można dalej osłabiać prestiżu Ameryki, podjęła brawurowe działania. Najpierw przeprowadzono skuteczną interwencję zbrojną na Haiti, następnie, wykazując niezwykłą stanowczość i determinację, USA zainicjowały w lecie 1995 r. serię rozległych ataków lotniczych na pozycje serbskie w Bośni i Hercegowinie. Wymuszając w ten sposób negocjacje pokojowe, Ameryka wzięła na siebie odpowiedzialność za zakończenie wojny w Bośni. Stronom zaangażowanym w konflikt przedstawiono amerykański plan jego rozwiązania. Negocjacje zakończono w grudniu 1995 r. podpisaniem układu pokojowego.

Panowały dość zgodne opinie, że Stany Zjednoczone pod wpływem doświadczeń z byłej Jugosławii powróciły nie tylko do polityki zaangażowania w świecie, ale przede wszystkim do roli przywódcy globalnego. „Jedynie my możemy przewodzić. Jaki byłby świat bez amerykańskiego przywództwa” – pytał retorycznie szef amerykańskiej dyplomacji Warren Christopher¹³. Równocześnie ekipa Clintona pozbyła się syndromu Wietnamu i przełamała niechęć wobec stosowania siły.

¹¹ H. Grunwald, „Time” z 26 VI 1995.

¹² Zob. szerzej J. Kiwerska, *Gra o Europę. Bezpieczeństwo europejskie w polityce Stanów Zjednoczonych pod koniec XX wieku*, Poznań 2000, s. 82-83.

¹³ W. Christopher, *America's Leadership, America's Opportunity*, „Foreign Policy”, Spring 1995, No 98, s. 8.

Podczas konfliktu w Kosowie Stany Zjednoczone, nauczone doświadczeniem z Bośni, nie zwlekały zbyt długo z użyciem argumentu siły. Gdy Jugosławia pomimo presji i gróźb nie przerwała polityki czystek etnicznych w Kosowie i odrzuciła z takim trudem wynegocjowane porozumienie z Rambouillet, zdecydowano się działać. Operacja militarna „Allied Force”, rozpoczęta 24 marca 1999 r. bez mandatu ONZ, była pierwszą akcją ofensywną, jaką w swej 50-letniej historii realizowało *NATO*. Po raz pierwszy też sojusz państw demokratycznych zdecydował się interweniować w imię praw człowieka, odrzucając zasadę poszanowania suwerenności państw. Stało się to powodem silnych kontrowersji oraz zarzutów, że w stosunkach międzynarodowych pojawił się groźny precedens. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że naruszono prawo międzynarodowe.

U źródeł determinacji Waszyngtonu leżało jednak przekonanie, że konflikt w Kosowie nie ma naturalnych granic i jego eskalacja może zagrozić całej Europie. Z tych przyczyn Ameryka nie miała problemu, aby do swych racji przekonać sojuszników europejskich. Tym razem uznali oni wyższość praw człowieka nad poszanowaniem suwerenności państwa, zwłaszcza że konflikt ten toczył się blisko ich granic. Pozostał jednak niepokój, czy interwencja w Kosowie, kontrowersyjna z prawnego punktu widzenia, nie stanie się precedensem. Czy nie spowoduje, że supermocarstwo lub grupa mocarstw przyzna sobie prawo interweniowania, gdy tylko uzna, że zagrożone są normy, które wyznaje? Czy nie pojawi się dyktat „mścicieli” – używając określenia Aleksandra Smolara – który podejmie się obrony światowego ładu i porządku? Ale wówczas problem ten rozważany był głównie na poziomie dysput akademickich.

Jakkolwiek w okresie prezydentury Clintona przywództwo amerykańskie było faktem, to jednak Waszyngton nie mógł dyktować warunków i narzucać swej woli bez ograniczeń. Amerykanie byli świadomi rosnących ambicji integrującej się Europie, zainteresowanej coraz bardziej prowadzeniem wspólnej polityki w zakresie bezpieczeństwa, czego efektem mogło być podważenie amerykańskiego przywództwa i trudności w wypełnianiu misji Ameryki. Rosnące zaniepokojenie administracji Clintona budziły też nowe wyzwania, zwłaszcza zagrożenie terroryzmem i proliferacją broni masowego rażenia. Waszyngton oczekiwał, że w walce z tymi zagrożeniami sojusznicy europejscy odegrają rolę partnera. W styczniu 1998 r., wraz z ponownym wzrostem napięcia w rejonie Zatoki Perskiej¹⁴, USA zabiegały o poparcie sojuszników dla ewentualnych ataków lotniczych na Irak. Spotkały się ze zdecydowaną odmową ze strony większości państw członkowskich *NATO*, jedynie Brytyjczycy zadeklarowali pomoc. W ten sposób uświadomiono administracji Clintona, że Europejczycy nie są już posłusznym realizatorem zamierzeń Waszyngtonu.

¹⁴ Władze Iraku zablokowały prace grupy ekspertów Komisji ONZ ds. Rozbrojenia Iraku, sprzeciwiając się kontroli swych obiektów strategicznych oraz rezydencji prezydenckich. Było to wyraźne pogwałcenie rezolucji Rady Bezpieczeństwa.

Pomimo różnych zawirowań i zgłaszanych pretensji, chwilowego osłabienia aktywności amerykańskiej na forum międzynarodowym, nie ulegało wątpliwości, że Ameryka u kresu prezydentury Clintona utrzymała swój status przywódcy i kreatora w polityce światowej. Zaangażowanie Stanów Zjednoczonych w różnych rejonach kuli ziemskiej było znaczące, co wywoływało podziw, ale i niechęć, stwarzając niekiedy wrażenie osamotnienia USA.

Dlatego między innymi program wyborczy republikańskiego kandydata w wyborach prezydenckich 2000 r. George'a W. Busha juniora, w tych nielicznych punktach odnoszących się do polityki zagranicznej, był krytyczny wobec działań administracji Clintona i chociażby z tego względu skłaniał do przypuszczeń, że gubernatorowi z Teksasu nieobce są idee izolacjonizmu. Odpowiadając na stwierdzenia wiceprezydenta Alberta Gore'a, że Ameryka jako jedyne supermocarstwo powinna przewodzić światu i wykorzystując obecność wojskową w różnych krajach wspierać przemiany demokratyczne, republikański kandydat wzywał USA do większej pokory w działaniach poza własnym terytorium i liczenia się z reakcją świata. „Ameryka nie może być wszystkim dla wszystkich. Jesteśmy miłującym wolność krajem i jeśli będziemy arogancy, to będą nas jako takich traktować, a jeśli będziemy skromni, będą nas szanować” – dowodził Bush¹⁵. Trudno stwierdzić, czy republikański kandydat rzeczywiście opowiadał się za większą powściągliwością Ameryki. Jego sugestie dotyczące ograniczenia amerykańskiego zaangażowania w świecie wpływały raczej z ignorancji w sprawach polityki zagranicznej i ogólnej niechęci do zajmowania się problematyką międzynarodową.

Gdy w styczniu 2001 r. Bush junior przejął najwyższy urząd w Białym Domu, w jego polityce można było dostrzec ową powściągliwość. I to pomimo tego, że w gronie najbliższych współpracowników nowego prezydenta znalazły się osoby bądź o wysokich kompetencjach w zakresie spraw międzynarodowych (np. Condoleezza Rice jako doradca ds. bezpieczeństwa narodowego), bądź ze znaczącym doświadczeniem w polityce zagranicznej (wiceprezydent Richard Cheney – były sekretarz obrony, sekretarz stanu Colin Powell – jeden z autorów operacji wyzwolenia Kuwejtu, Donald Rumsfeld, stojący na czele *Pentagonu*, był już m.in. ambasadorem USA przy *NATO*). Trudno było jednak nie zauważyć zróżnicowania poglądów wśród tej grupy wpływowych współpracowników. Nowy szef *Pentagonu* i wiceprezydent reprezentowali punkt widzenia na temat roli i zadań Ameryki w świecie, który kiedyś przypisywano tzw. jastrzębiom (świat jest niebezpieczny, a nikomu nie można ufać, Ameryka powinna zaś konsekwentnie realizować swe cele, podyktowane interesem narodowym). Bardziej pojednawczo wypowiadał się sekretarz stanu, który wierzył w międzynarodowe porozumienia i układy. Deklarował też większą gotowość do kompromisów i współdziałania na arenie międzynarodowej. Pomiędzy nimi znalazła się C. Rice, trochę „jastrzab”, trochę

¹⁵ Cyt. w: I. H. Daalder, J. M. Lindsay, *The Bush Revolution: The Remaking of America's Foreign Policy*, The Brookings Institution, Washington 2003, s. 7.

„gołąb”. Podejrzewano, że jej wpływ na poglądy i działania Busha będzie najsilniejszy.

Wspólnym mianownikiem tej doświadczonej na polu polityki zagranicznej ekipy było przywiązanie do narodowych interesów amerykańskich jako głównych wyznaczników działań USA na arenie międzynarodowej. Mówiono też o stanowczości i zdecydowaniu w polityce zagranicznej. Charles Krauthammer, jeden z czołowych konserwatywnych publicystów amerykańskich, już wówczas pisał o „doktrynie Busha”, którą będzie charakteryzowało odejście od multilateralizmu w kierunku unilateralizmu, czyli działania na własną rękę, bez oglądania się na krępujące Waszyngton układy i zobowiązania. Krauthammer dowodził, że będzie to nowa wersja *Pax Americana*, pokoju na amerykańskich warunkach. „Bush, jak Reagan, rozumie, że USA są w stanie przekształcać rzeczywistość po swojemu. Ameryka jest dominującym mocarstwem, bardziej niż jakakolwiek potęga od czasów starożytnego Rzymu. Może więc przekształcać normy, zmieniać oczekiwania i tworzyć nową rzeczywistość. Jak? Poprzez nieugięte demonstrowanie swojej woli”¹⁶.

Pierwsze sto dni prezydenta Busha potwierdziły przewidywania co do nowego charakteru amerykańskiej polityki zagranicznej, w której liczyły się przede wszystkim żywotny interes Ameryki i jej punkt widzenia, a mniejszą wagę przywiązywano do oczekiwań świata oraz międzynarodowych zobowiązań. Uznano, że w tym momencie interes własny wymaga ograniczenia amerykańskiego zaangażowania w świecie. Dlatego republikańska administracja nie wykazywała ochoty do odgrywania aktywniejszej roli ani w rozwiązywaniu konfliktu na Bliskim Wschodzie, ani w przewyciężeniu sporów między Indiami a Pakistanem, mimo że oba te kraje straszyły bronią nuklearną. Nawet można było dostrzec chęć wycofania amerykańskich żołnierzy z Bośni, co groziło osłabieniem z takim trudem budowanej przez wiele państw struktury bezpieczeństwa na Bałkanach. I co najciekawsze, w kwestii Iraku administracja Busha wykazywała skłonność do zaakceptowania francuskiej propozycji zniesienia ONZ-owskich sankcji, obowiązujących od 1991 r. Wszystko to potwierdzało wolę zmniejszania amerykańskich zobowiązań w świecie, a nawet odrzucenia roli „policjanta”, reagującego żywo na każdy konflikt, czyli zwrot ku „skromności” i „umiarowi” w amerykańskiej polityce zagranicznej, o których wcześniej mówił Bush.

Wiele posunięć nowej administracji dowodziło też jednak skłonności do unilateralizmu i nieliczenia się z opinią sojuszników. Tak potraktowano odrzucenie przez Stany Zjednoczone porozumienia z Kioto o ograniczeniu emisji gazów wywołujących efekt cieplarniany. To, że Ameryka, na którą przypadało ok. 25% wszystkich emitowanych gazów przemysłowych, jest w stanie podważyć porozumienie wynegocjowane przez ponad 100 krajów, a reszta świata jest wobec tego bezsilna, musiało frustrować. Romano Prodi, szef Komisji Europejskiej, zauważył,

¹⁶ Ch. Krauthammer, *The New Unilateralism*, „Washington Post” z 8 VI 2001.

że ten, kto chce być świadomym liderem, musi wykazać troskę o całą ziemię, a nie tylko o przemysł amerykański. Podobnie krytycznie oceniono fakt, że Stany Zjednoczone nie zaakceptowały powołania Międzynarodowego Trybunału Karnego i nie zgodziły się, aby amerykańscy obywatele podlegali innej niż własna jurysdykcji.

Jednak faktem potwierdzającym to, że amerykański lider chce działać głównie sam, bez oglądania się na krępujące Waszyngton układy i zobowiązania oraz na racje sojuszników, była decyzja o realizacji „odziedziczonego” po Clintonie projektu systemu obrony przeciwrakietowej (*NMD*), nawiązującego do słynnych „wojen gwiazdnych”. Administracja Busha kontynuowała prace nad budową systemu i to mimo zdecydowanych zastrzeżeń sojuszników europejskich, obawiających się nowego wyścigu zbrojeń i zadrążeń w stosunkach z Rosją. Swą decyzję Biały Dom uzasadniał koniecznością dbania przede wszystkim o bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych, nawet za cenę pogorszenia stosunków z europejskimi sojusznikami i Moskwą. Uznano, że jedyne supermocarstwo ma prawo do forsowania swoich racji zgodnie z zasadą, co jest dobre dla Ameryki, jest dobre dla świata.

To pogorszenie stosunków z partnerami europejskimi przekładało się na kolejne napięcia w układzie transatlantyckim, który mimo sporów w latach poprzednich wydawał się przecież stosunkowo stabilnym, ważnym czynnikiem amerykańskiej potęgi i rangi na arenie międzynarodowej. Tymczasem sami Europejczycy z nową siłą i przekonaniem zaczęli podważać autorytet Ameryki i jej racje. Wykorzystano do tego nie tyle kontrowersyjne działania nowej administracji na polu polityki zagranicznej, co osobowość samego prezydenta. Konserwatysta Bush i jego retoryka służyły temu, aby nie tylko lewicowe elity europejskie przywoływały niefortunny stereotyp Amerykanina – ignoranta i aroganta. Należy bowiem wyraźnie podkreślić, że elity intelektualne zachodniej Europy tradycyjnie traktowały Amerykanów jak arystokrata nuworysza. Podczas gdy politycy i część społeczności państw europejskiego Zachodu doceniali amerykańską rolę gwaranta bezpieczeństwa i stabilizacji w świecie, zwłaszcza w okresie zimnej wojny, to wielu intelektualistów nie kryło swojej pogardy dla Ameryki, jej kultury, niektórych polityków i przywódców. Prostolinijny Bush, popełniający gafy słowne, prezentujący manichejski stosunek do świata, był szczególnie dobrym obiektem do krytyki ze strony koryfeuszy wysublimowanej kultury europejskiej, którzy zresztą chętnie zabiegali o stypendia i posady w amerykańskich uniwersytetach i centrach naukowych.

Przywództwo amerykańskie wraz z objęciem rządów przez Busha zyskało zatem nowy charakter. Z jednej strony była to skłonność do działań unilateralnych i ograniczonych do tych sfer, które mają ścisły związek z amerykańskim interesem, z drugiej zaś narastająca trudność w porozumieniu się z partnerami, nawet z tymi tradycyjnie najbliższymi Ameryce – z niektórymi sojusznikami europejskimi. Pozostał też problem odwieczny i znany z historii, że mniejsze potęgi próbują zrównoważyć siłę tej, która wyraźnie wybija się i, wykorzystując swój status

jedynego supermocarstwa, chce narzucać własną wolę w złudnym przekonaniu, że jej interesy są w naturalny sposób zbieżne z interesami świata.

Bieg wypadków i zjawiska, które nastąpiły po ataku terrorystycznym na Amerykę, czyniły problem amerykańskiego przywództwa jeszcze bardziej ważkim. Trudno przecenić znaczenie 11 września 2001 r. dla Ameryki i jej sposobu postrzegania świata. Jest to przedmiot ożywionego dyskursu polityków, politologów i historyków; przyjdzie nam jeszcze długo dostrzegać i odkrywać skutki tego wydarzenia dla porządku międzynarodowego. Bez wątplenia atak terrorystyczny na Nowy Jork i Waszyngton pogrzebał iluzję Amerykanów, że ich kraj to forteca oddzielona od wszelkich nieszczęść wodami Pacyfiku i Atlantyku oraz chroniona potęgą militarną nie mającą sobie równej w historii. Stało się bowiem to, co dotychczas było jedynie teoretyczną możliwością – Ameryka została zaatakowana na własnym terytorium (Pearl Harbor to był *de facto* obszar zamorski)¹⁷. W efekcie Amerykanie zostali głęboko upokorzeni, gdyż ataki na *World Trade Center* i *Pentagon* były wielkim wyzwaniem rzuconym amerykańskiej supremacji, gdyż uderzono w symbole amerykańskiej potęgi gospodarczej, militarnej i politycznej. Zostali też pozbawieni tego atrybutu, który przez niemalże całe dzieje określał ich stosunek do świata zewnętrznego – poczucia bezpieczeństwa.

To właśnie poczucie bezpieczeństwa powodowało, że Stany Zjednoczone bez zbytejnej obawy o swe żywotne interesy mogły angażować się na arenie międzynarodowej w stopniu, któremu nie dorównywało zaangażowanie żadnego innego mocarstwa. Ameryka, wypełniając ową misję – jak głosiła – w imię wartości, czyniła tak w przekonaniu, że nie spowoduje to uszczerbku dla jej interesu podstawowego, czyli bezpieczeństwa. Teraz wszystko uległo radykalnej zmianie. Nowojorska hekatomba zniszczyła poczucie bezpieczeństwa, prysła iluzja, zapewne na zawsze. Okazało się, że Amerykanie w zakresie bezpieczeństwa nie mają żadnych szczególnych przywilejów, co więcej mają wielu wrogów, trudnych nawet do zidentyfikowania.

Uświadomienie sobie, że ich kraj może być obiektem tak wielkiej nienawiści i wrogości – to kolejne przykre doświadczenie, jakie Amerykanie wynieśli z 11 września. Byli szokowani faktem, że w ten sposób odbierane są ich dobre zamiary (owo sprzyjanie wolności, demokracji i sprawiedliwości), zaskoczeni wrogością, jaką wzbudza amerykańska potęga w świecie. Bo nie ulegało wątpliwości, że pełnienie roli jedynego supermocarstwa, którego wpływy rozciągają się na cały świat, rodziło w tym świecie lęk, niechęć i zawiść.

Czy zatem 11 września 2001 r. zmieni mentalność Amerykanów i ich stosunek do świata? Czy staną się bardziej nieufni, zamknięci, zaczną się izolować, zmuszając też władze do ograniczenia zaangażowania na arenie międzynarodowej? Były to pytania, które niemal automatycznie pojawiły się w dyskusjach. Co stanie

¹⁷ Hawaje nie były w dniu ataku 7 XII 1941 r. jeszcze stanem amerykańskim, stały się nim dopiero w 1959 r.

się z amerykańskim przywództwem i czym będzie teraz Ameryka? – to kolejne pytania, na które właściwie nadal szuka się pełnej odpowiedzi.

Atak terrorystyczny nie stał się bynajmniej powodem załamania czy osłabienia woli działania USA lub – jak przewidywali niektórzy – ponownej ucieczki w izolacjonizm. Zresztą w sytuacji, gdy oceany już nie chroniły Ameryki, a pretensje i fobie kumulujące się w odległych częściach świata mogły wstrząsnąć życiem Amerykanów, izolacjonizm nie miał sensu. Wprost przeciwnie, Amerykanie zademonstrowali nie tylko wybuch uczuć patriotycznych, których siła zaskoczyła zrównoważonych Europejczyków, ale przede wszystkim ogromną determinację i wolę działania. Uznano, że należy nawet kosztem wielkich wyrzeczeń ścigać i niszczyć przeciwnika, gdziekolwiek się znajduje. Problem polegał jedynie na tym, że ten wróg nie był do końca zidentyfikowany.

Stało się bowiem to, co później Henry Kissinger nazwał „prywatyzacją” polityki zagranicznej. Ataku dokonały siły niekontrolowane przez żaden rząd, choć korzystające z potajmnego lub bezpośredniego wsparcia niektórych państw. Już to utrudniało identyfikację wroga i komplikowało walkę. Wiadomo, że w takiej sytuacji nie będzie skuteczna strategia odstraszenia – dotychczasowy niepodważalny atrybut amerykańskiego przywództwa. Dawniej potencjalnym agresorem były państwa silne, które można było obserwować, monitorować, reagować na ewentualne zagrożenia i odstraszać. Dyplomacja, prowadzona nawet z pozycji siły, jest jednak bezskuteczna w odniesieniu do grup, którym obcy jest kompromis, gdyż uprawiają swego rodzaju rewolucyjną politykę zagraniczną wyrosłą na fanatyzmie i nienawiści, ale pomimo tego „zarządzaną” niezwykle nowocześnie.

Nie ulegało więc wątpliwości, że będzie to wojna długotrwała, skomplikowana, wymagająca ofiar i być może pozbawiona spektakularnych sukcesów. Amerykanie zdecydowali się jednak ją podjąć. Bush odrzucił myśl o umiarze i powściągliwości w polityce zagranicznej. Doskonale wyczuwając społeczne nastroje urażonej dumy i utraty poczucia bezpieczeństwa, niemal z dnia na dzień stał się dowódcą i „wojennym” prezydentem, zdecydowanym i gotowym do podejmowania ryzyka. Wojnę z terroryzmem uczynił absolutnym priorytetem polityki USA. Temu priorytetowi podporządkowano tradycyjny idealizm i poczucie misji Ameryki. Krzewienie demokracji, promowanie wartości i zasad tym razem nie miały być punktem docelowym, a jedynie środkiem do realizacji najważniejszego celu – zniszczenia i wyeliminowania terroryzmu. Tak więc reakcja na 11 września zapoczątkowała nową amerykańską strategię. Stany Zjednoczone skoncentrowały się na walce z terroryzmem, uznając – po raz pierwszy w swych dziejach – że stawką w tej wojnie jest ich bezpieczeństwo. Jednak zachowano to, co dotychczas określało amerykańskie działania zbrojne – również i ta wojna miała być krucjatą. G. Bush użył nawet tego określenia w jednym z pierwszych wystąpień po ataku terrorystycznym. Później do tego nie wracał, gdyż uświadomiono mu niezręczność tego określenia w odniesieniu do islamu.

Zastanawiano się również, jakie działania podejmie Ameryka. Czy będzie to emocjonalny odwet, czy reakcja powinna mieć raczej charakter powściągliwy, metodyczny, planowy i precyzyjny? Zdaniem wielu obserwatorów i komentatorów sposób zachowania Ameryki miał być sprawdzianem amerykańskiej wiarygodności i odpowiedzialności jako lidera w świecie. „Po 11 września był czas pesymizmu, gdy dominowało wrażenie, że wszystko się wali. Amerykanie postanowili się temu przeciwstawić” – przyznaje francuski filozof Alain Finkielkraut¹⁸.

Wojna z terroryzmem – ze względu na swój charakter – wymagała nowej, bardziej przemyślanej taktyki. Linie obronne ustanowiono na własnych granicach, a wojnę trzeba było prowadzić w regionach, o których większość Amerykanów nigdy nie słyszała, np. w Afganistanie. Jej zakres miał być szeroki i to pod kilkoma względami. Zdecydowano się wypowiedzieć walkę nie tylko siłom terrorystycznym, ale również wspierającym ich ośrodkom. Prezydent Bush zapowiedział, że „Stany Zjednoczone nie będą przeprowadzały rozróżnienia między terrorystami, którzy dokonują ataków, a tymi, którzy ich chronią”¹⁹. A zatem do listy celów dopisano „reżimy sponsorujące terror”, co oznaczało możliwość rozprawienia się z reżimami, dotychczas jedynie „trzymanymi w szachu” i straszonymi, jak talibowie w Afganistanie czy Saddam Husajn w Iraku.

Po drugie, choć to Ameryka została ugodzona, zdecydowała się uczynić wojnę z terroryzmem wojną wspólną, prowadzoną z sojusznikami. Nie była to decyzja automatyczna, gdyż pokusa działania unilateralnego w tym wypadku była ogromna. Chodziło przecież o żywotne interesy Ameryki, o moralne prawo odwetu i zemsty, które przysługuje każdemu, a więc i supermocarstwu, dysponującemu ogromną siłą rażenia. Niektórzy doradcy prezydenta z kręgu „jastrzębi” opowiadali się za takim właśnie, jednostronnym działaniem odwetowym bez zwoływania partnerów. Tymczasem wielu sceptyków i krytyków prezydenta Busha, zarzucających mu wcześniej skłonności unilateralne i arogancję, zaskoczyła rozważa i determinacja, z jaką przystąpił on do tworzenia koalicji antyterrorystycznej, choć należy przyznać, że prezydent mówiąc „jesteście z nami albo przeciw nam”, tak naprawdę nie pozostawił szerokiego marginesu swobody. Niemniej jednak atak terrorystyczny uzmysłowił prezydentowi, że w obliczu tak wielkiego zagrożenia jedynie wspólne działanie zakończy się osiągnięciem celu. Niezależnie więc od emocji i retoryki USA pokazały, że nie są skłonne do akcji nieprzemyślanych i pochopnych, wprost przeciwnie – uznały konieczność działania multilateralnego. Można było odnieść wrażenie, że prysła kolejna iluzja na temat unilateralizmu, dominującego w dotychczasowej polityce Busha. Okazało się, że we współczesnym świecie także supermocarstwo potrzebuje sojuszników.

¹⁸ Wywiad z A. Finkielkrautem, *Ameryka marzy, Europa kłamie*, „Polityka” z 3 III 2003.

¹⁹ Telewizyjne wystąpienie G. W. Busha, cyt. za „International Herald Tribune” z 13 IX 2001.

Z drugiej strony, również świat gotowy był włączyć się do budowanej koalicji. Dla przeważającej części opinii światowej 11 września był szokiem, potęgowanym charakterem i spektakularnością tego ataku. Uświadomiono też sobie skalę zagrożenia, któremu nie oparła się nawet największa potęga militarna. Efektem był masowy i spontaniczny odruch solidarności, poparcia i współczucia. Przełożyło się to na bezprecedensowe w dziejach Paktu Północnoatlantyckiego wprowadzenie w życie fundamentalnego art. 5 traktatu waszyngtońskiego („jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”). Do tej tworzonej *ad hoc* koalicji poparcia przyłączyły się i inne państwa, począwszy od Rosji i jej byłych republik, poprzez Chiny, kraje arabskie, a na Pakistanie skończywszy. Udało się również uzyskać akceptację ONZ dla działań antyterrorystycznych. Ameryka stanęła więc przed ogromną szansą wykorzystania dramatycznej sytuacji dla stworzenia czegoś dobrego, kształtującego nowy model stosunków na świecie. Utrzymanie tej wspólnoty działania lub przynajmniej zagospodarowanie pewnej płaszczyzny współpracy było jednym z największych wyzwań dla administracji amerykańskiej. Chodziło nie tylko o odbudowę silnych więzi transatlantyckich, ale też o utwierdzenie skutecznego przywództwa, czyli takiego, które uwzględni współpracę i opiera się na zasadach akceptowanych przez wszystkie strony.

Jednak podjęta przez tę szeroką koalicję interwencja w Afganistanie, gdzie chroniły się oddziały al-Kaidy odpowiedzialne za atak na Amerykę, choć zwycięska, nie spełniła takiej roli. Przede wszystkim nie przyczyniła się do umocnienia partnerstwa transatlantyckiego, gdyż Amerykanie prowadzili tę wojnę głównie samodzielnie, wchodząc jedynie w dwustronne układy z niektórymi członkami NATO i nie konsultując z nimi większości decyzji. Mogło tak się stać, gdyż przewaga militarna nad sojusznikami była tak wielka, że pomoc z ich strony potrzebna była Amerykanom raczej w wymiarze symboliczno-politycznym. Ponadto Stany Zjednoczone zdawały sobie sprawę, że pomimo pierwszych deklaracji poparcia, planowana interwencja w Afganistanie spotkała się z różnymi reakcjami w państwach europejskich. Krytycy z kręgów elity intelektualnej podnosili racje moralne przemawiające – ich zdaniem – przeciwko wojnie z talibami, kwestionowano argumenty polityczne uzasadniające atak na Afganistan, dowodono, że jest to zwykła awantura prowokowana przez „jastrzębi” waszyngtońskich. Zatem w sytuacji, gdy chodziło o amerykański interes narodowy – bezpieczeństwo, Stany Zjednoczone nie mogły ryzykować, wypuszczając z rąk kierowanie kampanią i poddając się kunktatorstwu niektórych przywódców europejskich.

Z drugiej jednak strony, z formalnego punktu widzenia była to akcja międzynarodowa pod egidą ONZ, a zaangażowane w nią państwa gotowe były do szerszej współpracy. Tymczasem zostały zignorowane przy podejmowaniu strategicznych decyzji i wykorzystane głównie jako zaplecze polityczne. Odnosiło się to zarówno do NATO, jak i ONZ. W efekcie, choć Afganistan dowiódł potęgi amerykańskiej i umocnił pozycję Stanów Zjednoczonych jako supermocarstwa, to jednak wizerunek Ameryki w oczach jej sojuszników ucierpiał. Uznano, że USA przyjęły postawę

hegemon, który ignoruje opinie sojuszników i nie chce dzielić się odpowiedzialnością. Rozczarowanie Europy Zachodniej było tym większe, że zamiast poprawy stosunków transatlantyckich nastąpiło zbliżenie między Stanami Zjednoczonymi a Rosją. Strategiczne znaczenie Rosji wzrosło ze względu na to, że miała ona coś do zaproponowania w walce z terroryzmem, wojującym islamem oraz z proliferacją broni masowego rażenia. Można było odnieść wrażenie, że układ transatlantycki traci na znaczeniu.

Główne wnioski, jakie dla Ameryki płynęły z zakończonej pomyślnie kampanii w Afganistanie, sprowadzały się do konstatacji o roli siły w działaniach zewnętrznych i przekonania, że Afganistan to tylko pierwszy etap walki z terroryzmem. Uznano, że Ameryka, rozporządzając bezprecedensowym potencjałem militarnym, ma prawo użyć go nie tylko w obronie swych żywotnych interesów, ale także w celu promowania światowego porządku opartego na demokratycznych, liberalnych porządkach. Jest to niejako obowiązek i przeznaczenie Ameryki, służące w ostatecznym rachunku umocnieniu jej globalnego przywództwa. Tak zarysowane cele Ameryka może realizować w koalicji, ale również samodzielnie, jeśli nie uda jej się pozyskać partnerów. Trzeba tylko mieć odwagę podejmowania trudnych i wymagających determinacji decyzji, gdyż na tym polega prawdziwe przywództwo.

Autorstwo „doktryny Busha” przypisano skupionej wokół prezydenta grupie „jastrzębi”, teraz zwanych neokonserwatystami. Wśród nich za najwybitniejszego stratega uchodził zastępca sekretarza obrony Paul Wolfowitz, którego wpływ na kształtowanie amerykańskiej strategii po 11 września trudno przecenić²⁰. Zręby nowej „doktryny Busha” pojawiły się w wygłoszonym 29 stycznia 2002 r. orędziu o stanie państwa, gdy prezydent użył formuły „oś zła”, zaliczając do niej Koreę Północną, Irak i Iran. Zdaniem wielu obserwatorów oznaczało to wytyczenie kolejnych celów działań USA. Prezydent zasugerował też gotowość prewencyjnego użycia siły, zwłaszcza wtedy, gdy pojawi się groźba przekazania przez dyktatorskie reżimy broni masowej zagłady terrorystom.

Nowa narodowa strategia bezpieczeństwa, ogłoszona we wrześniu 2002 r., zawierała już najważniejsze elementy „doktryny Busha”. Amerykańscy strategowie uznali, że w obliczu nowych zagrożeń, gdy obowiązująca od zakończenia II wojny światowej polityka odstraszenia nie chroni już przed atakami, konieczne może okazać się działanie wyprzedzające. Dlatego Stany Zjednoczone są gotowe współpracować z sojusznikami i wspólnotą międzynarodową, ale zastrzegają sobie prawo do podjęcia działań prewencyjnych i samodzielnych. Po drugie, strategia zakładała utrzymanie przez Amerykę niekwestionowanej przewagi militarnej²¹. Następnym

²⁰ Grupa neokonserwatystów zaczęła kształtować się w połowie lat 90-tych. Obecnie tworzą ją politycy: Richard Cheney, Donald Rumsfeld, Richard Perle, Richard Armitage, John Bolton i in., oraz teoretycy: Francis Fukuyama, Samuel Huntington, William Kristol, Robert Kagan i in.

²¹ *The National Security Strategy of the United States*, Washington, The White House, September 2002.

tego był ogromny wzrost nakładów na zbrojenia, większy niż w okresie zimnej wojny (ok. 1 mld dziennie).

Nie uległo więc wątpliwości, że elementem przywództwa Ameryki w świecie będzie teraz nie tylko jej bezdyskusyjna i systematycznie umacniana potęga militarna, roztaczanie ochronnego parasola nad sojusznikami i partnerami, reagowanie na kryzysy, ale także prawo do prewencyjnego działania. „Doktryna prewencji jest prosta i jasna – dowodził Richard Perle, członek Rady Polityki Obronnej Departamentu Obrony USA. Jeśli grozi nam atak, zastrzegamy sobie prawo do powstrzymania go. To nie jest żaden unilateralizm, to jest zdrowy rozsądek. [...] Na pewno nie wolno czekać, aż będzie za późno. A tak, niestety, zachowaliśmy się przed 11 września 2001 r.”²²

Narodowa strategia bezpieczeństwa została umiejętnie połączona z tradycyjnym dla amerykańskiej retoryki tonem mesjanistycznym. Wojna prewencyjna miała służyć nie tylko likwidacji zagrożeń, ale przede wszystkim zaprowadzeniu na świecie nowego porządku, opartego na sprawdzonych wartościach. „Bezpieczeństwo musi opierać się na sile wojskowej, ale nie tylko na niej – dowodziła doradca ds. bezpieczeństwa narodowego C. Rice. Żeby budować równowagę sił na rzecz wolności musimy poszerzać korzyści płynące z wolności i dobrobytu, jakim cieszą się kraje rozwinięte. Spoczywa na nas obowiązek zbudowania takiego świata, który jest nie tylko bezpieczniejszy, ale i lepszy. [...] Ale będzie to możliwe tylko wtedy, jeżeli wytrwale i cierpliwie będziemy używać naszych wpływów w służbie wyznawanych ideałów, nie zaś w służbie samym sobie”²³.

Celem tak rozumianej misji Ameryki stał się więc od początku 2002 r. Irak. Zwolennikom realizacji nowej doktryny udało się przekonać prezydenta Busha, że konieczne jest definitywne rozprawienie się z Saddamem Husajnem i unieszkodliwienie reżimu budującego śmiercionośne arsenały, a następnie demokratyzacja świata islamskiego. Amerykanom wydawało się, że zarysowana strategia zbrojnej interwencji w Iraku znajdzie szerokie poparcie w świecie. Nie przypuszczali, że wywołają spór, który ujawni wiele dawnych i nowych napięć w stosunkach z sojusznikami, partnerami, opinią światową.

Najbardziej krytyczne głosy płynęły z Europy, dowodząc, że część państw Starego Kontynentu coraz bardziej nieprzychylnie ocenia amerykańskie przywództwo. Zresztą nie wynikało to tylko ze stylu rządzenia G.W. Busha czy przyjętej przez jego administrację strategii działania. Racje każdej ze stron były daleko bardziej złożone i wkrótce stały się przedmiotem jednej z najbardziej ożywionych debaty publicznej. Jak niegdyś Wietnam, tak teraz wojna z terroryzmem, lub dokładniej z Irakiem, zapoczątkowała wielką dyskusję na temat zagrożeń i sposobu przeciwdziałania im, amerykańskiej siły, intencji i racji moralnych Waszyngtonu, porządku międzynarodowego i prawnego.

²² Wywiad z R. Perle'em, *Nie wolno czekać, aż będzie za późno*, „Rzeczpospolita” z 8-9 III 2003.

²³ Wywiad z C. Rice, *Sprostać ideałom XXI wieku*, „Gazeta Wyborcza” z 25 X 2002.

U podłoża tego sporu leżało m.in. różne traktowanie przez USA i Europę zagrożenia terrorystycznego. Dla Europy nie był to *de facto* wstrząs na miarę doświadczenia amerykańskiego. Uznano go za jednorazowy akt, wprawdzie straszny, ale nie uprawniający do ogłoszenia powszechnej krucjaty przeciwko terroryzmowi. Europejczycy nie zamierzali temu zadaniu podporządkować innych priorytetów swej polityki zewnętrznej, zwłaszcza integracji. Poza tym większość opinii publicznej w Europie postrzegała terrorystów islamskich (i wspierające ich reżimy) jako zagrożenie nie tyle dla Zachodu, ile dla Ameryki. Gdy więc Ameryka była gotowa do działania w imię własnego i światowego bezpieczeństwa, jej sojusznicy nie widzieli takiej potrzeby. Amerykę i Europę dzieliła ocena natury i skali nowego zagrożenia.

Po drugie, Europa nie była w stanie zaakceptować amerykańskiej koncepcji roli siły w polityce. Pod tym względem nie ulegało wątpliwości, że Europa i Ameryka stają się częścią innych światów. Robert Kagan ujął to zgrabnie mówiąc, że Amerykanie są z Marsa, a Europejczycy z Wenus²⁴. Europa, słabsza pod względem militarnym, a także doświadczona dwiema wojnami światowymi, wykreśliła się jako środek osiągania celów politycznych. Zresztą nie mogło być inaczej w nastawionej pacyfistycznie, żyjącej zasobnie i wygodnie społeczności zachodnio-europejskiej, rządzonej przez elity polityczne, w znacznej mierze ukształtowane przez ruchy antywojenne (antyamerykańskie) lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Natomiast Ameryka, bezprecedensowa potęga militarna, nie tylko ceniła wartość siły, ale zamierzała ją spożytkować jako instrument niszczenia zagrożeń i krzewienia demokracji. Hasło „nigdy więcej wojny” brzmi atrakcyjnie. Kto nie chce pokoju? Jednak nie można traktować go jako normatywnej opcji politycznej w sytuacji, gdy świat nie jest wolny od dyktatorów i szaleńców – twierdzili zwolennicy nowej „doktryny Busha”. Chodzi jedynie o to, aby olbrzymi amerykański potencjał militarny mógł być wykorzystany do osiągania pozytywnych celów. Amerykanie lepiej niż Europejczycy zrozumieli, że świat stawia wyzwania i problemy, których nie da się rozwiązać bez użycia siły.

Niechęć części sojuszników do użycia siły i opór przed wojną powodował, że w większym stopniu stawiali oni na działania multilateralne, kierując się w stronę świata praw, reguł, ponadnarodowych organizacji i negocjacji. Działo się tak również z powodu rosnącej dysproporcji potęgi militarnej między USA a europejskimi sojusznikami. Stąd odwoływanie się do instytucji, w których pozycja ich teoretycznie równa jest Stanom Zjednoczonym. „Rada Bezpieczeństwa ONZ to substytut siły, której im brakuje” – pisał Kagan²⁵. Dlatego w czasie dyskusji wokół Iraku można było dostrzec, że nieprzychylna militarnym planom Ameryki część Europy apelowała o zabiegi dyplomatyczne, kontynuowanie negocjacji przy domi-

²⁴ R. Kagan, „*Of Paradise and Power*”, *America and Europe in a New World Order*, New York 2003, s. 3-4.

²⁵ Tamże, s. 40.

nującym udziale ONZ. Wierzyła, że w ten sposób zdoła politycznie przeciwstawić się dominującej pozycji USA, ograniczyć ich potęgę.

Wbrew pozorom Amerykanie nie byli przeciwni takiej wizji świata, w której liczy się również prawo oraz instytucje międzynarodowe. Wszak to Roosevelt wymyślił ONZ, zapożyczając wiele z wilsonowskiej koncepcji Ligi Narodów. Doceniano rolę ONZ w procesie dekolonizacji, promowania standardów prawnych w różnych krajach, działalności humanitarnej. Z drugiej jednak strony można było odnieść wrażenie, że Ameryka okres fascynacji strukturami międzynarodowymi ma już za sobą. Skłaniało ją do tego przeświadczenie, znajdujące zresztą poparcie w faktach, że ONZ nie zdołała się w swej historii wykazać skutecznością potrzebną do zapobieżenia wielkim nieszczęściom, nie odegrała większej roli w utrzymaniu pokoju i bezpieczeństwa. Tylko w sprawie Iraku od 1991 r. Rada Bezpieczeństwa podjęła siedemnaście rezolucji, z których żadna nie została zrealizowana. „Gdy patrzymy na międzynarodowe instytucje, które sami współtworzyliśmy – mówił amerykański dyplomata Christopher R. Hill – ważniejsze jest dla nas nie to, co powinny robić, ale czy i jak to robią. Widząc nieskuteczność, odmawiamy poparcia”²⁶.

Jednak Ameryce w istocie chodziło też o ryzyko utraty swobody działania. Każdy z pozostałych stałych członków Rady Bezpieczeństwa mógł bowiem teoretycznie sparaliżować Stany Zjednoczone. André Glucksman ujął to niezwykle trafnie: „Francja, Rosja i Chiny stawiają ONZ [...] na piedestale po to, by uświęcić nadzwyczajne przywileje własnej suwerenności. Żadna decyzja nie zapadnie bez ich zgody, żaden dyktator nie zostanie obalony bez ich błogosławieństwa”²⁷. A więc, odwołując się do struktur ONZ, ryzykowano związanie sobie rąk, a zyskiwano w zamian ewentualnie mandat polityczny.

Nie można też zarzucić Amerykanom, że unikali dyplomacji, byli jednak przekonani, że zabiegi dyplomatyczne rokują nadzieję tylko wówczas, gdy wspiera je odpowiedni potencjał militarny i gotowość użycia siły. Prawo międzynarodowe nie może też być sprowadzone do poziomu absolutnej suwerenności, normy uniemożliwiającej podjęcie skutecznych działań. Przypominano, że wszystkie konflikty zbrojne, jakie rozgrywały się w Europie pozimnowojennej, zostały spacyfikowane w wyniku militarnego zaangażowania USA, a nie drogą działania procedur prawa międzynarodowego i organizacji międzynarodowych. Tak było w przypadku wojny w Bośni i Hercegowinie, a przede wszystkim w konflikcie o Kosowo. Jeśli więc oczekuje się, że mocarstwo globalne ma ponosić odpowiedzialność na miarę swojej potęgi, to trzeba mu też przyznać stosowne do tej potęgi uprawnienia i pogodzić się z możliwością wykorzystania siły.

²⁶ Rozmowa z ambasadorem USA w Polsce Ch. R. Hillem, *Zrozumie Jankesa*, „Gazeta Wyborcza” z 21-22 XII 2002.

²⁷ A. Glucksman, *Osobliwe odwrócenie sojuszy*, „Rzeczpospolita” z 14 III 2003.



Ale politycy w Europie nie akceptowali takiej wizji świata, w której USA posiadają prawo interweniowania w dowolnym miejscu zgodnie z logiką: to my decydujemy, kto jest zagrożeniem dla świata. Tym samym zostały bowiem wyznaczone dwie „klasy” suwerenności: amerykańska suwerenność, która ma pierwszeństwo przed traktatami i zobowiązaniami międzynarodowymi, oraz suwerenność wszystkich pozostałych państw. Kosowo w żadnym wypadku nie miało być precedensem. Europa chciała międzynarodowego porządku opartego nie na Białym Domu i jego przyzwoleniu, ale na zgodnym współdziałaniu politycznym, na regulacji gospodarczej, na odbudowanej roli ONZ, gdyż tylko w takiej sytuacji głos państw europejskich byłby znaczący.

Natomiast traktowana już doktrynalnie wojna prewencyjna wprowadzała zamęt do jasnych zasad, gdyż była sprzeczna z prawem międzynarodowym, które sankcjonuje użycie siły w obronie własnej wyłącznie w razie faktycznego, nie zaś potencjalnego zagrożenia. Istniała uzasadniona obawa, że działanie wyprzedzające może stać się regułą stosowaną przez każde państwo, zależnie od sytuacji i potrzeb. Dziś USA, ale jutro Chiny lub Rosja mogą sobie przyznać prawo do zbrojnych interwencji. Wtedy, w miejsce stabilizacji i porządku, o którym mówią Amerykanie, powstałby chaos, a Stany Zjednoczone zamiast przewodzić stałyby się hegemonem, światowym policjantem, coraz bardziej znieawidzonym.

Dla polityków amerykańskich, skupionych wokół Busha nie ulegało wątpliwości, że świat buduje nowy porządek, który jest wynikiem pojawienia się owej „prywatyzacji” polityki zagranicznej. Potrzebne jest więc dostosowanie norm i reguł do nowych wyzwań. Jednakże spór dotyczył tego, czy rację mają ci, którzy twierdzą, że prawo międzynarodowe nie jest statyczne, lecz kształtuje się poprzez precedensy. Nie powinno też ono stanowić przeszkody nie do pokonania, zwłaszcza dla najsilniejszego państwa na świecie, które zresztą ma najwięcej do powiedzenia przy jego kształtowaniu. Tym bardziej, że przywódca tego państwa posiada – jak twierdzi – „pewną wizję, która zakłada zaprowadzenie na świecie nowego porządku i zapewnienie pokoju za pomocą prewencyjnej i, jeśli byłoby to konieczne, jednostronnej akcji”²⁸. Czy może jednak słuszność jest po stronie tych, którzy wątpią, że siła może eliminować zagrożenia, odrzucają wojnę prewencyjną jako działanie agresywne i sprzeczne z prawem, przywiązani są do dyplomacji jako najlepszej metody wprowadzania ładu i demokracji, a wizja Busha przywodzi im na myśl działanie „szeryfa z Teksasu”, siłą zaprowadzającego porządek w miasteczku?

Takie dwa sposoby myślenia o sytuacji międzynarodowej i roli Ameryki wykrystalizował spór wokół Iraku. Efektem tego był nasilający się antyamerykanizm w Europie oraz rozczarowanie i pretensje wobec sojuszników europejskich – po drugiej stronie Atlantyku. W tej postawie Europy trudno było nie zauważyć rosnącej niechęci do Ameryki, pewnych kompleksów i utajonych urazów europejskiej opinii publicznej. Z kolei Amerykanie odreagowywali silny kiedyś kompleks

²⁸ B. Woodward, *Wojna Busha*, Warszawa 2003, s. 277.

niższości kulturalnej wobec Europy, skłaniający jeszcze niedawno do tolerancji dla nietypowych, pełnych rozterek, zachowań Europejczyków. „Nowy Rzym nie czuje już respektu dla starych Greków” – konkludował tę sytuację Timothy Garton Ash²⁹.

Niewiele w tych relacjach zmieniła ewolucja stanowiska administracji Busha. W pewnym momencie uznała ona, że pragnienie zlikwidowania zagrożenia terrorystycznego nie może oznaczać deprecjacji i odrzucenia innych zasad oraz metod postępowania. Ameryka nadal aspirowała do roli moralnego przywódcy. Jej potęga, dominacja i wpływy tradycyjnie opierały się nie tylko na sile militarnej i gospodarczej, ale również na atrakcyjności amerykańskiego modelu społecznego i kulturowego, a także na pełnieniu pewnej misji. Jeśli Ameryka, wbrew woli swych europejskich sojuszników, chciałaby forsować swój własny – siłowy – sposób rozprawienia się z Irakiem, istniało niebezpieczeństwo, że straci uznanie u innych. Po drugie, to że USA są w stanie podjąć skutecznie, na własną rękę, każde wyzwanie militarne, nie oznacza, że mogą w pojedynkę sprostać współczesnym wyzwaniom, zwłaszcza siłom terroryzmu i przeciwstawić się znaczącej części opinii w Europie.

Te m.in. względy zadecydowały o tym, że Ameryka nie była już tak przekonana o słuszności działania na własną rękę, bez konsultowania się z sojusznikami. Amerykanie przypomnieli sobie, że planując operacje militarne, należy uwzględnić reakcje społeczności międzynarodowej. Prezydent Bush zdecydował się więc wykorzystać procedury ONZ. Jego wystąpienie na forum Zgromadzenia Ogólnego NZ 12 września 2002 r., choć ostre i zdecydowane, dowodziło, że Ameryka nie chce działać jednostronnie i proponuje współdziałanie w rozbrojeniu Iraku. Biały Dom rozpoczął zakrojoną na szeroką skalę ofensywę dyplomatyczną, której celem było przekonanie stałych członków Rady Bezpieczeństwa do przyjęcia rezolucji wzywającej Bagdad do rozbrojenia. W tym działaniu na forum ONZ politycy amerykańscy wykazali chwałę – nawet wydawać by się mogło, że sprzeczną z ich naturą – cierpliwość, negocjując z Francją, Chinami i Rosją kolejne wersje rezolucji 1441. Jej przyjęcie 8 listopada 2002 r., po blisko dwóch miesiącach trudnych negocjacji, było na pewno sukcesem Białego Domu. Amerykanie pokazali, że chcą sojuszników i zrobią wiele, aby uzyskać ich poparcie. Zwracając się do ONZ, administracja Busha stworzyła tej organizacji także ogromną szansę odegrania ważnej roli. Jako aktywne supermocarstwo Ameryka oczekiwała bardziej aktywnego współdziałania ONZ.

Zgoda Husajna na inspekcje ekspertów ONZ i rozpoczęcie przez nich poszukiwań broni masowego rażenia obudziły nadzieję, że do zbrojnej interwencji nie dojdzie. Równocześnie jednak rząd amerykański nasilił przygotowania, wysyłając w rejon Zatoki Perskiej oddziały żołnierzy. Przekonywano, że ta demonstracja siły stanowi presję na reżim Husajna. Z kolei postawa niektórych sojuszników europejskich, a zwłaszcza Francji i Niemiec potwierdzała, że Stany Zjednoczone nie mogą

²⁹ „New York Review of Books” z 13 II 2003.

liczyć na solidarne poparcie. Służyło to usztywnieniu stanowiska Bagdadu i pozwalało Husajnowi rozgrywać tę partię dla własnych interesów. Wiedział bowiem, że nie ma przeciwko sobie zwartego frontu antyirackiego. Przeciwko wojnie była nie tylko znacząca część pacyfistycznej i antyamerykańskiej opinii publicznej Europy Zachodniej, ale też przywódcy wielu państw europejskich. Jedyne, co mogło osłabić pewność siebie irackiego dyktatora, to determinacja Waszyngtonu, który w rejon Zatoki Perskiej przrzucał dodatkowe siły wojskowe i uzbrojenie. Istniało poważne podejrzenie, że Amerykanie tak naprawdę zdecydowali już o zbrojnej interwencji, a zabiegi dyplomatyczne stanowią jedynie zasłonę dymną, gdyż chodzi im przede wszystkim o likwidację reżimu Husajna, a nie tylko jego rozbrojenie.

Okres od listopada 2002 r. do marca 2003 r. obfitował w niezwykle trudne dla Stanów Zjednoczonych momenty. Choć początkowo pozycja Ameryki – dzięki przyjęciu rezolucji 1441 – wzmocniła się, to już wkrótce supermocarstwo odczuło, jak bardzo można być samotnym, będąc u szczytu swego rozkwitu i potęgi. Wprawdzie stanowisko administracji Busha i jej zdecydowanie w sprawie interwencji w Iraku popierały, obok Wielkiej Brytanii, także rządy Włoch, Hiszpanii, Danii i większość państw wschodnioeuropejskich, jednak Francja, Niemcy, Rosja i znakomita część europejskiej opinii publicznej odrzucała wojnę, bez względu na to, czy z mandatem ONZ czy bez jej poparcia.

Nie był to tylko sprzeciw wobec użycia siły i odrzucenie wojny jako sposobu rozwiązywania kryzysu irackiego. Nie chodziło tylko o oczywiste w tej sytuacji konflikty interesów (wszak Francja i Rosja posiadały szczególne – gospodarcze i finansowe – pola zainteresowań w Iraku). Ta wyjątkowo konfrontacyjna wobec Waszyngtonu postawa była również wyrazem buntu przeciwko amerykańskiemu przywództwu, potwierdzeniem tezy, że zbyt silne mocarstwo rodzi nieuchronnie próbę jego zrównoważenia i osłabienia. Europa, a zwłaszcza Francja i Niemcy, poczuła nieodpartą potrzebę zmanifestowania swej niezależności w działaniu i przy okazji odegrania ważnej roli w polityce globalnej. Paryż i podążający jego śladem Berlin zdawały się marzyć o tym, aby stać się w Europie przeciwwagą dla Ameryki – taką, jaką podczas zimnej wojny był Związek Radziecki. Temu służył tzw. frontu odmowy, który stworzyły: Francja, Niemcy i Rosja.

Efektom tych zawirowań był kryzys decyzyjny w *NATO* – największy w dziejach tego sojuszu – w lutym 2003 r. Odmawiając udzielenia Turcji wsparcia na mocy art. 4 traktatu waszyngtońskiego poprzez dostarczenie systemu obrony przeciwrakietowej, prezydent Francji wykorzystał *NATO* do swych rozgrywek z Ameryką, starając się podważyć jej polityczne wpływy w Sojuszu. Było to wydarzenie tym bardziej znamienne, że *NATO* stanowi ważny czynnik pozycji USA nie tylko w Europie, ale i w skali globalnej. Wprawdzie stosując proceduralne zabiegi, udało się przezwyciężyć kryzys, jednak niepewność co do dalszych losów Paktu Północnoatlantyckiego pogłębiła się. Świadomość, że Stany Zjednoczone nie mogą liczyć na swych sojuszników, mogła skutkować utratą zaufania do *NATO*

i układu transatlantyckiego. Administracja Busha miała powody do rozgoryczenia i poczucia, że część europejskich partnerów zdradziła ich.

Te odczucia spotęgowało niepowodzenie dyplomacji amerykańskiej, zabiegającej w lutym i marcu 2003 r. na forum ONZ o przyjęcie kolejnej rezolucji, umożliwiającej zbrojną interwencję w Iraku. Wobec zapowiedzi weta ze strony Francji i Rosji, a także Niemiec i kilku innych niestałych członków Rady Bezpieczeństwa, wiadomo było, że rezolucja nie ma szans. Nie mogło to już zmienić w niczym biegu spraw. W rejonie Zatoki Perskiej zgromadzono przeszło 250 tys. żołnierzy amerykańskich i brytyjskich. Gdyby odstąpiono od ataku na Irak, wiarygodność amerykańskiej potęgi w wojnie z terroryzmem i jako lidera międzynarodowego mogłaby doznać poważnego i być może nieodwracalnego uszczerbku. W tej sytuacji brak mandatu ONZ nie był już dla Amerykanów żadną przeszkodą. Umacniał ich tylko w przekonaniu, że organizacja ta jest nieskuteczna, gdyż nie rozumie intencji amerykańskich. Pozostawienie sprawy do rozstrzygnięcia na forum ONZ byłoby wyrazem „strusiej polityki”, unikaniem odpowiedzialności. Biały Dom uznał, że zrobił wiele, aby przekonać innych do współdziałania. Chętnych było niewielu. Ci, którzy zarzucali Bushowi unilateralizm, nie dostrzegali, że sami pchają ku niemu USA.

Trudno podejrzewać, że prezydent Bush znał refleksję Leszka Kołakowskiego, iż „każda wojna jest zła, ale nie każda wojna jest złem absolutnym, to znaczy takim, że nie ma ceny za wysokiej, by jej uniknąć. Tą ceną może być kapitulacja przed tyranem, niewola, hańba”³⁰. Ale rozpoczynając 20 marca 2003 r. interwencję zbrojną w Iraku, niewątpliwie stwierdził, że warto zaryzykować, aby odsunąć od władzy Husajna. Uznał, że wielkie demokracje i silne mocarstwa mają większe obowiązki i odpowiedzialność w świecie. Narazając się na konsekwencje polityczne, związane z reakcją niechętnych wojnie państw, podjął tę ryzykowną grę, bynajmniej „nie dla wojennych łupów, ale by budować nowy bliskowschodni porządek i w miarę możliwości ustanowić tam prawdziwą demokrację”³¹. Ameryka jako lider okazała się zdeterminowana i skuteczna w podejmowaniu decyzji, choć była w tym momencie dramatycznie osamotniona.

Dla tej części świata, która była przeciwna zbrojnej interwencji w Iraku, decyzja o ataku oznaczała potwierdzenie opinii, że Stany Zjednoczone inicjują nowy ład światowy, w którym one decydują za wszystkich, przesądzają, co jest legalne, a co nie, są zbrojnym ramieniem interwenującym według własnego uznania. Wypełniają rolę supermocarstwa w sposób arbitralny, siłowy, sprzeczny z obowiązującymi normami prawa międzynarodowego. Odrzucano motywację

³⁰ L. Kołakowski, *Zło względne i zło absolutne*, „Gazeta Wyborcza” z 22-23 II 2003. Dalej wybitny filozof pisze: „A jeśli chodzi o mój własny stosunek do sprawy, to mogę tylko tyle powiedzieć, że jest on ambiwalentny i że małodusznie cieszę się z tego, że nie jestem prezydentem amerykańskim i o niczym nie muszę decydować”.

³¹ A. Finkelkraut, *Ameryka marzy, Europa kłamie*, „Polityka” z 3 V 2003.

i argumenty przedstawiane przez stronę amerykańską, które uznano za niewystarczające do przeprowadzenia wojny prewencyjnej. Ani przypuszczenia o irackim arsenale broni masowego rażenia, ani krwawy i despotyczny charakter reżimu Husajna nie stanowiły – zdaniem przeciwników – wystarczających powodów do ataku na Irak. Obawiano się tysięcy ofiar wśród ludności cywilnej, katastrofy gospodarczej, ekologicznej i politycznej w regionie.

Sam przebieg wojny w Iraku, która zakończyła się w połowie kwietnia 2003 r. szybkim oraz spektakularnym zwycięstwem i pociągnęła za sobą stosunkowo niewielką liczbę ofiar, mógł służyć potwierdzeniu słuszności myśli Raymonda Arona, że „idealiści, wierząc, że zerwali z polityką siły, wyolbrzymiają jej zbrodnie”³². Obalenie reżimu Saddama Husajna *de facto* umocniło rangę Ameryki jako supermocarstwa, i to pomimo całej krytyki, jaka poprzedziła i towarzyszyła tej wojennej kampanii. Szybkie zwycięstwo potwierdziło militarne możliwości Stanów Zjednoczonych oraz zdolność skutecznego ich wykorzystania.

Jednak z drugiej strony wizerunek Ameryki jako wzorca, szanującego normy i zasady porządku międzynarodowego – dla niektórych może archaicznego, ale jednak obowiązującego – ogromnie ucierpiał. Przeciwnicy uznali, że Ameryka przyznała sobie prawo do uderzenia na suwerenny kraj, tworząc w ten sposób niebezpieczny precedens. W tym kontekście zarzut o imperialnej strategii Waszyngtonu wydawał się uzasadniony. Trudno być przywódcą, opierając się tylko na swej wojskowej sile. Gdy brakuje atrybutów moralnych oraz „miękkiej władzy”, która tradycyjnie decydowała o sile amerykańskich wpływów w świecie, wówczas mamy do czynienia raczej z dominacją niż przywództwem.

W tej sytuacji niezwykle ważnym pytaniem było to, czy Stany Zjednoczone zdołają po Iraku odbudować w pełnym wymiarze wizerunek przywódcy, czyli takiego mocarstwa, o którego potęgę decyduje nie tylko siła i możliwości militarne, ale również umiejętność narzucenia sobie pewnych norm i zasad postępowania. Niewątpliwie zdolność Ameryki do przewodzenia w przyszłości zależeć będzie w znacznej mierze od tego, jak świat zrozumie i zapamięta wojnę w Iraku. Właśnie ze względu na precedensowy charakter tej wojny społeczność międzynarodowa będzie postrzegać amerykańskie działania przez pryzmat pirańskiej kampanii politycznej i dyplomatycznej. Chodzi w niej o to, aby zyskać poparcie tych, którzy sprzeciwiali się zbrojnej interwencji w Iraku. Odbudowa tego kraju musi być dziełem międzynarodowym. Choćby dlatego, że żaden kraj nie chce, aby Ameryka stała się jedyną siłą w regionie mającym kluczowe znaczenie dla zaopatrzenia w energię i dla stabilizacji międzynarodowej. Jest to sposób na związanie jednostronnej akcji amerykańskiej z porządkiem międzynarodowym.

Po drugie, Irak nie może być traktowany przez Waszyngton jako pierwszy cel amerykańskich wojen prewencyjnych czy militarnej dominacji na Bliskim Wschodzie. Niebezpieczeństwo takie istnieje, zwłaszcza że sukces iracki umocnił w Sta-

³² R. Aron, *Pokój i wojna. Teoria stosunków międzynarodowych*, Warszawa 1966.

nach Zjednoczonych stronnictwo neokonserwatystów. Irak powinien jednak pozostać jednorazową prezydencką wojną, która nie była odpowiedzią na bezpośredni atak. Należy więc działać rozsądnie, tak aby uspokoić obawy związane z amerykańską siłą, ambicjami i pojmowaniem sprawiedliwości, które po upadku Bagdadu pojawiły się z ogromnym natężeniem w regionie i na całym świecie. Są bowiem powody, aby nawet siła była konfrontowana z procedurami, prawem i osądem innych.

Obalenie reżimu Saddama Husajna musi być natomiast elementem procesu, którego ostatecznym celem będzie wprowadzenie przynajmniej quasi-demokracji w regionie, ale przede wszystkim rozwiązanie konfliktu izraelsko-palestyńskiego, który dzisiaj wydaje się być węzłem gordyjskim. Przedstawiony w maju 2003 r. plan pokojowy dotyczący Bliskiego Wschodu, tzw. Road Map, to dopiero początek walki o pokój w regionie. Jeśli jednak administracja amerykańska będzie równie zręcznie i skutecznie uprawiać dyplomację wobec problemu palestyńskiego, jak prowadziła wojnę w Iraku, to wygra również to starcie, dowodząc swej przywódczej roli.

Jest wiele słuszności w stwierdzeniu, że z amerykańską potęgą trzeba się nauczyć żyć, gdyż niewiele wskazuje na to, aby potencjał USA został osłabiony. Przewaga militarna Ameryki będzie w dającej się przewidzieć przyszłości składnikiem porządku międzynarodowego. Obserwowany dzisiaj sposób postępowania Ameryki i jej widzenie świata nie jest tylko wytworem ambicji czy wizji George'a W. Busha, lecz w dużej mierze efektem tradycyjnej amerykańskiej polityki zagranicznej. Niemal od zawsze pierwiastek idealistyczny łączył się w niej z realizmem. Ameryka angażowała się w różnych zakątkach świata dla własnych celów, ale też w imię wolności i demokracji. Idealizm nakazywał Amerykanom obronę wartości na całym świecie; realizm przypominał, że siła argumentów musi być wsparta argumentem siły. W ten sposób uzasadnienie moralne zmieniało kampanię wojskową w swoistą krucjatę.

Przekonanie o wyjątkowej roli Ameryki oraz o jej szerokich globalnych interesach, a także zrodzone pod wpływem 11 września 2001 r. obawy o własne bezpieczeństwo spowodowały, że Stany Zjednoczone są gotowe nadal sprawować przywództwo w świecie. Chodzi jednak o to, aby przywództwo amerykańskie nie zmieniło się w hegemonię, czyli narzucanie własnej woli i nieliczenie się z opinią innych, gdyż wówczas naturalną koleją rzeczy będzie narastał opór przeciwko USA, nawet wśród tradycyjnych sojuszników amerykańskich. Trzeba też uznać, że tak jak Ameryka ma pełne prawo do suwerennych działań, tak też inne kraje mają prawo do oceny jej obecnej polityki przez pryzmat własnych interesów i z uwzględnieniem jej skutków globalnych.

Wychodząc z takiego założenia, a także biorąc pod uwagę doświadczenia, łatwiej jest formułować pewne zastrzeżenia i postulaty co do amerykańskiego przywództwa. Rację mają niewątpliwie ci, którzy piszą, że Ameryka nie powinna angażować się całkowicie w realizację tylko jednego celu i działania – zbrojnej interwencji. Trzeba pozostawić szeroką rezerwę dla dyplomacji. Przywództwo

amerykańskie, aby było skuteczne, musi uwzględniać współpracę i opierać się na zasadach akceptowanych przez wszystkie strony. Elementem przywództwa jest bowiem umiejętność budowania koalicji wokół siebie, a nie przeciw sobie. Nie chodzi też o to, aby samodzielnie rozwiązywać każdy problem, ale aby tworzyć koalicje, które zdolne są im zaradzić. Szczególne obowiązki Ameryki jako najpotężniejszego państwa na świecie obejmują więc działanie na rzecz umocnienia systemu międzynarodowego opartego na czymś więcej niż na sile militarnej, przede wszystkim na współpracy. „Każdą inną postawą – przestrzegają Kissinger – doprowadzi stopniowo do naszej izolacji i wyczerpania w kwestiach o najwyższym znaczeniu dla bezpieczeństwa wewnętrznego”³³. Stany Zjednoczone nie zdołają bowiem same uporać się z każdym problemem międzynarodowym, a zwłaszcza z terroryzmem, nie wyczerpując swych sił fizycznych i psychicznych oraz nie antagonizując reszty świata. Stąd potrzeba przełożenia amerykańskiej dominacji na systematyczne działanie w kierunku budowania międzynarodowego konsensu. Pociąga to za sobą potrzebę prowadzenia konsultacji w określonym stylu: należy nie tyle przedstawiać zalecenia polityczne, ile wspólnie dochodzić do definiowania zagrożeń, celów długofalowych i metod postępowania.

Warunkiem akceptacji amerykańskiego przywództwa jest nie tylko umiejętność uwzględniania interesów innych, ale również jego atrakcyjność. Stany Zjednoczone muszą więc dalej wносить do światowego układu połączenie wielkiej siły z ideową motywacją oraz niekwestionowanymi wartościami. Warto podtrzymać tę wizję świata wolnego i sprawiedliwego jako celu amerykańskiego działania na arenie międzynarodowej, ale działania, które nie łamie ustalonych norm i zasad. Jest w nim miejsce na siłę, ale przede wszystkim na tzw. miękką władzę, czyli – używając retoryki zarówno W. Wilsona, jak i G. W. Busha – promieniowanie przykładem.

Trzeba jednak mieć świadomość, że w świecie, w którym istnieje tylko jedno supermocarstwo, będzie ono ściągało na siebie gniew i oburzenie bez względu na to, co uczyni. Skłonność do współpracy, rezygnacja z arogancji i narzucania swej polityki może pomóc, ale nie może zmienić zasadniczego odbioru supermocarstwa przez innych. Jedynym sposobem byłaby większa pasywność Ameryki, rezygnacja z odpowiedzialności za świat i w konsekwencji powrót do izolacjonizmu. Ale czy świat byłby wówczas bezpieczniejszy? Należy wątpić. Trudno też wyobrazić sobie, że Francja wraz z Niemcami i Rosją stworzy w skali światowej skuteczną i bezpieczną przeciwwagę dla USA i ich sojuszników. Nonsensem byłoby przypuszczać, że będzie to z pożytkiem dla świata. Weźmy pod uwagę choćby Europę, gdzie wiele państw nie ma kłopotów z zaakceptowaniem amerykańskiego przywództwa, gdyż nie godzi ono w ich narodową dumę. Inaczej byłoby, gdyby do roli przywódcy aspirowało jakieś mocarstwo europejskie. Na to prawdopodobnie nie byłoby zgody.

³³ H. Kissinger, *Wyprzedzające uderzenie*, „Rzeczpospolita” z 31 VIII-1 IX 2002.

Kissinger powiada, że najpoważniejszym wyzwaniem dla Ameryki jest takie wykorzystanie jej siły i władzy, aby nastąpiła w świecie zgoda co do wspólnych wartości – nie przez narzucanie ich siłą, ale przez świadomą akceptację, gdyż niezależnie od oporu, krytyki i niechęci, które Ameryka wywołuje, świat potrzebuje jej przywództwa³⁴. W dzisiejszym układzie sił, podobnie zresztą jak było przez ostatnie dziesięciolecie, Stany Zjednoczone ze swoją potęgą stanowią niezbędny element bezpieczeństwa światowego. Osłabienie tej potęgi, upokorzenie, wpędzenie w izolacjonizm nie leży w interesie państw demokratycznych.

ABSTRACT

This paper is concerned with the concept of American leadership in the past and now. It is examined the elements of American power. The article consists of few parts, dealing with the following questions:

- 1. The spirit of isolationism and engagement*
- 2. The relations between idealism and vital interest*
- 3. Limits to American power*
- 4. The war on terrorism and American role*
- 5. Crisis in transatlantic relations*
- 6. Criteria for the use of force*

It is argued that America cannot be the world's policeman, it must be more than that. It is argued also that there is no alternative to American leadership.

³⁴ Tenże, *Does America Need a Foreign Policy. Toward a Diplomacy for the 21st Century*, New York 2001, s. 288.



Wkrótce ukaże się

Maria Rutowska

SKAZANI NA TUŁACZKĘ

**WYSIEDLENIA WIELKOPOLAN
DO GENERALNEGO
GUBERNATORSTWA (1939-1941)**

Seria Prace Instytutu Zachodniego nr 71

Prezentowana praca podejmuje problematykę związaną z wysiedleniami Polaków i Żydów do GG, przede wszystkim z terytorium okręgu administracyjnego Kraj Warty. Scharakteryzowane zostały plany i realizacja wysiedleń, organizacja i metody ich przeprowadzania oraz warunki, w jakich odbywały się transporty z wysiedlonymi. Istotnym ogniwem w prowadzonej polityce wysiedleńczej były specjalnie utworzone obozy dla deportowanej ludności. Przytoczone w pracy wspomnienia i relacje wysiedlonych osób, opisujące ich pobyt w obozach przesiedleńczych wskazują, iż ten fragment okupacyjnej rzeczywistości był bardziej okrutny niż jej obraz odtworzony na podstawie przyjętych przez okupanta planów, zarządzeń i instrukcji.